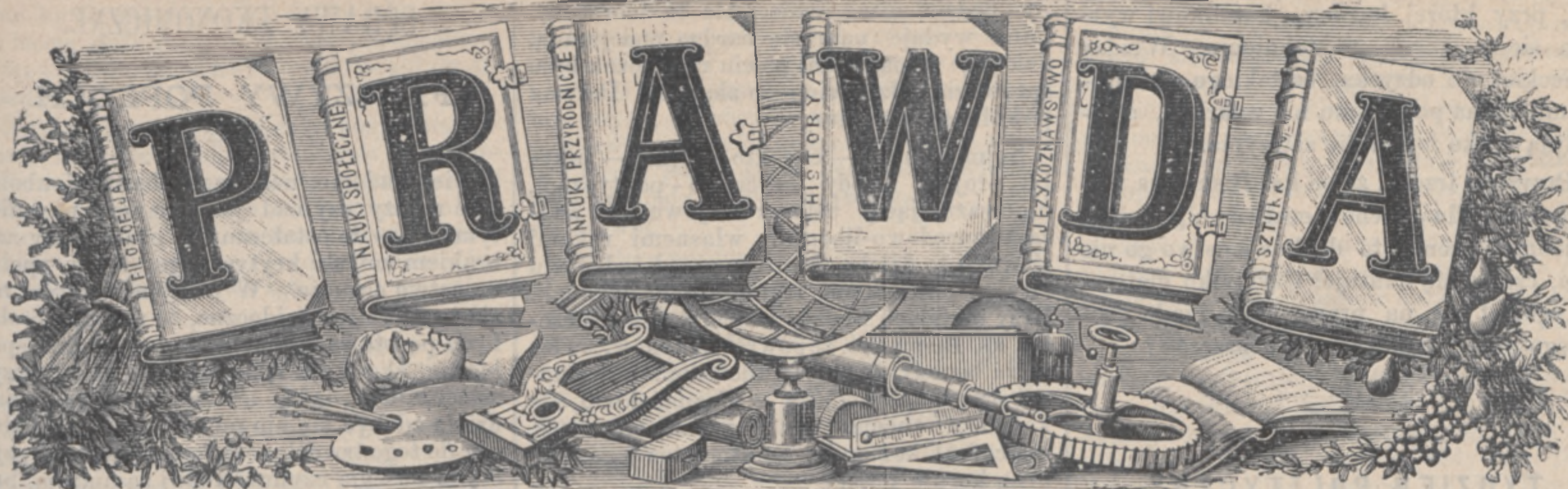
№ 18. Warszawa, dnia 30 (18) Kwietnia 1887 r. **Rok VII.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Dzieło Morgana **Społeczeństwo pierwotne** wyszło z druku i za zwrotem kwitów prenumeracyjnych odebranem być może w Administracyi naszego pisma. Nabywcom prowincyonalnym wysłane zostało pocztą. Cena obecna rs. 4.

Naukowe znaczenie tej epokowej pracy znajdzie czytelnik w osobnych artykułach, z których pierwszy zamieszczamy w dzisiejszym numerze *Prawdy*.

POLITYKA.

DOBRANI PRZYJACIELE.

Do walki z katolicyzmem byliśmy zmuszeni. Zaledwie Niemcy zostały zjednoczone i jeszcze nie spoiły się dostatecznie, powstało w parlamencie stronnictwo wyznaniowe, centrum, w którem pod płaszczeczem religijnym ukryły się żywioły przeciwne państwu i dążące do rozkładu jego. Ponieważ Pius IX, którego prosiliśmy o poskromienie tej partyi, odmówił nam swej pomocy, więc rozpoczęliśmy wojnę z Kościołem, nie dogmatyczną, ale polityczną. Gdy na Stolicy apostolskiej zasiadł Leon XIII, człowiek pokoju, nawiązaliśmy znowu układy, które doprowadziły do pożądanego rezultatu. Papież upomniał centrum, a my, mając za sobą jego dobrą wolę, burzymy szańce obronne — t. z. ustawy majowe, które nie były instytucyą trwałą, ale czasową. Niektórym stronnictwom się to niepodoba. Twierdzą, jakobym do spraw wewnętrznych wprowadzał czynnik obcy, władcę zewnętrznego. Ale papież jest zwierzchnikiem wszystkich katolików, zatem i niemieckich. Przyjmijcie więc panowie projekt rządowy, zapewniający większą swobodę katolikom; niepodobna przecie tyranizować części ludności z powodu jej religii. Przynajmniej ja do tego ręki nie przyłożę, i gdybyście odrzucili projekt, musiałbym opuścić zawiadywanie wewnętrznemi sprawami państwa i poprzestać na zagranicznych.

Tak mniej więcej przed sejmem pruskim rozumował i groził ks. Bismark. Przeszedł on w krętaninie wszystkie lisy z bajek. Gdy dowodził, że nie jest „ojcem" ustaw majowych, że był do nich zmuszony potrzebami obrony, że papieża należy uważać za zwierzchnika wewnątrz państwa, gdy rozczulał się nad niedolą prześladowanych katolików — zdumione oczy posłów wylaziły z opraw a pamięć uszom nie wierzyła. Ponieważ naturalnie z pod skóry niewinnego baranka wszystkiemi szparami wyłaziła szerść wilcza, więc zaczęto ją wykazywać, przypominać kanclerzowi, że dawniej całkiem przeciwnie twierdził. Wtedy on, przyciśnięty do muru, rzucił jeden z tych aforyzmów, które go najwymowniej charakteryzują: „Dla polityka, dla męża stanu konsekwencya tem jest łatwiejszą, im on mniej ma myśli politycznych; jeśli posiada chociaż jedną, owa konsekwencya staje się zabawką dziecinną." Dalej trudno posunąć „realizm" w rządach. Wszystko, co w danej chwili dogadza interesowi państwowemu, jest dobrem i rozumnem, chociażby wczoraj dla tego samego interesu nazwane było głupiem i niegodziwem. Z tego wszakże punktu można dostrzedz w działaniach ks. Bismarka... konsekwencyę niekonsekwencyi praktycznej, a szczerość nawet wstrętna ma prawo do względnego szacunku. Widzimy człowieka, który gardzi logiką i etyką, pisze prawa końcem miecza, bierze wszystko, co mu korzyść przynosi, ale się tego nie zapiera.

Inaczej na tle prusko-watykańskiego handlu wygląda „przyjaciel" kanclerza, papież, ktory za cień nadziei odzyskania władzy świeckiej, za zaszczyt i zysk przymierza z potężnym ministrem sprzedaje dobro katolików i gwałci ich sumienie obywatelskie w sprawach politycznych. Nakaz głosowania za siedmioleciem wojskowem, a teraz drugi, zabraniający oporu względem rządu, zdarł maskę ojcowską Leona XIII i wywołał zgrozę śród najwierniejszej owczarni, zgasił nad jego głową nimbus religijny. Przez zaciśnięte zęby szemrzą członkowie centrum, sarka prasa katolicka. Śmielsze jej organy nie tłumią nawet głośnego oburzenia. Jeden z nich radzi drużynie Windhorsta „złożenie mandatów," drugi wola: „stójcie twardo!", inny ironizuje: „Pochyl swą głowę, dumny (katoliku), spal, coś wczoraj czcił, a czcij, coś wczoraj palił. Musimy uledz, musimy..." Taż sama gazeta (*Schles. Volksztng*) opowiada, że „komisya kardynałów do kościelnych spraw niemieckich od sześciu miesięcy już nie jest zwoływaną; kardynałowie zaś Melchers i Ledóchowski wogóle nie byli zapytywani... Murzyn spełnił swą powinność — murzyn może odejść." To też dla dzielnych murzynów, dla centrum katolicka *Neisser Zeitung* radzi ułożyć taki napis grobowy: „Nieprzyjaciele nigdy go nie pokonali, przyjaciele nie opuścili, zaparł się go papież, za którego prawa przez 17 lat walczyło i cierpiało."

Przewidywaliśmy, że samolubna polityka Leona XIII wywoła niechęć śród katolików, ale nie przypuszczaliśmy, ażeby śród tych ludzi, nawykłych — jak się wyraził ks. Bismark — do „trupiego posłuszeństwa," owa niechęć tak wezbrała i wylała się wieloma ujściami. Papież albo jej nie widzi, albo ją lekceważy. Inaczej zawróciłby zdrogi, na którą wjechał, namówiony przez kanclerza niemieckiego. I jeżeli jakimś czynem nie odzyska straconego zaufania, dokończy swego żywota co najmniej w chłodzie uczuć ze strony wiernych.

W dziejach kościoła będzie on tą jego głową, przy której każdemu katolikowi wyrwie się z piersi westchnienie. Władzy świeckiej nie odzyska, bo takiego anachronizmu żadna potęga mu nie wskrzesi, a religijną tylko formalnie zatrzyma.

Przyznać trzeba, że od ks. Bismarka wytargował dla duchowieństwa ulg wiele, a jednak czemu to duchowieństwo go nie lubi, czemu się buntuje? Czy tylko dlatego, że zgodził się na prawo głosu rządu pruskiego przy mianowaniu proboszczów?

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Od pewnego czasu przypadek jest głównym dostarczycielem nowin politycznych. W chwili gdy uwaga ogólna zwraca się na jakiś punkt ważny, skąd wszyscy spodziewają się wybuchu, nagle w całkiem innej stronie pęka drobna petarda z nadzwyczajnym hałasem. I teraz właśnie, kiedy wpatrywano się w Afganistan, pograniczny komisarz francuski Schnaebele został aresztowany przez władze niemieckie, co wywołało tak straszną wrzawę, że telegraf żadną inną sprawą nie jest gorliwiej zajęty, niż tą. A sprawa to dosyć ciemna. Wszyscy zgadzają się, że Schnaebele był bardzo zręcznym policyantem i dlatego osadzonym nad granicą lotaryncką, ażeby tem łatwiej mógł śledzić roboty pruskie; ale gdy jedni twierdzą, że go aresztowano na ziemi francuskiej, inni — że na niemieckiej, inni—że go zwabiono w pułapkę (a pewien świadek zeznaje, że gdy uciekającego schwytano i powalono, głowę miał we Francyi a nogi w Niemczech). Prusacy dawno chcieli go złowić, bo podobno uorganizował w Lotaryngii system szpiegowski i pomagał rekrutom do ucieczki. Naturalnie gazety francuskie są oburzone na ten gwałt i uważają go za wyzwanie drażniące ze strony nieprzyjaciela; niemieckie znowu usiłują odjąć wypadkowi większą wagę, mówią o zdziwieniu ks. Bismarka i zapewniają, że jeśli śledztwo wykaże nieprawidłowość aresztowania, Selnaebele natychmiast wypuszczony będzie z więzienia. Ale ta dobrotliwa mina wydaje nam się bardzo podejrzaną. Jak to, w ciągu dni pięciu nie można było sprawdzić, gdzie winnego złapano? Dziwna powolność procedury.

Sejm pruski — czy kto wątpił? — przyjął projekt ugody kościelno - politycznej, unieważniającej ustawy majowe. To znaczy: narodowo-liberalni własnemi rękami zburzyli to dzieło, którego przed jedenastu laty z okrzykiem tryumfalnym dokonali. Przy obradach niejaki Dziembowsky ostrzegał ks. Bismarka, że powrót zakonów, zwłaszcza benedyktynów i franciszkanów, wzmocni propagandę polską w Poznańskiem, ale kanclerz, chociaż mu przyznał słuszność, nie cofnął komendy, za którą też jego drużyna kornie poszła.

Dobra służba!

A jak ona się spisuje w sejmie niemieckim! Gdy strachami wojny francuskiej spędzono doń większość posłuszną rządowi, teraz zaczynają wyłazić różne szydła: monopole i kredyty dodatkowe na cele wojskowe. Westchnął naród, ujrzawszy modele pomp, które z niego wysysać będą grosz ciężko zapracowany, ale sam tego chciał, wybierając służalczych posłów.

Ghilzajowie, łącznie z innemi plemionami, tłuką wojska emira, którego dni władzy zdają się być policzone, król abisyński zamierza obledz Massawę i zmierzyć się z włochami, których podejrzywa o złe zamiary, w odmęcie afrykańskim wyrastają różni mahdiowie, którzy chcą walczyć na własną rękę, w Birmie szerzy się dalej bunt przeciw anglikom — oto wiązanka wypadków, nad którymi jednak zapanowała sprawa Schnaeblego, tak dalece, że nawet pierścień, przesłany przez sułtana— papieżowi, nie wydobył należycie swego blasku. Charakterystyczny objaw, jaką ten Leon XIII ma słabość do odszczepieńców i niewiernych. Bismark, sułtan, mikado japoński, cesarz chiński... Szkoda, że nie żyje Brigham Young.

SPRAWY EKONOMICZNE.

FAŁSZYWY POPŁOCH.

Nie wiadomo, nad czem bardziej ubolewać należy: czy nad pesymizmem posuniętym w nas do ostatecznych granic, czy nad brakiem zmysłu krytycznego, który społeczeństwo cechuje? W jednym i drugim razie to tylko jest widoczne, że na bardzo słabych podstawach opiera się organizm społeczny, skoro ani wiary w swą siłę i przyszłość nie posiada, ani na trzeźwą ocenę dzieła zdobyć się nie może. Jeżeli zaś dodamy do tego trwożliwość, towarzyszącą wszystkim naszym czynnościom i zamiarom, będziemy chyba mieli dość dokładny obraz chwili i usposobień „naszych działaczy.“

Na potwierdzenie powyższego faktu wystarczy przypatrzyć się i przysłuchać popłochowi, jaki na pewną część naszego społeczeństwa, mianowicie na rolników i ludzi interesy ich popierających, wywarły nowe postanowienia rządu francuskiego, co do podniesienia ochronnych ceł zbożowych.

Środek, wywołany czysto miejscowemi potrzebami tego państwa, a raczej pewnej jego części, nasi ekonomiści i politycy uważają za zamach przeciwko nam wymierzony, podnoszą do niesłychanych rozmiarów ujemne jego następstwa dla tutejszej produkcyi, utrzymują, że „żadne gospodarstwo wytrzymać ich nie będzie mogło“ i z podwojonem przerażeniem kreślą rozpaczliwe wróżby dla przyszłości tutejszego rolnictwa, na które się widocznie p. Clémenceau zawziął. Całej tej wreszcie litanii płaczliwych argumentów towarzyszy zwykła śpiewka o upadającem przedsiębiorstwie.

Zanim ocenimy właściwy wpływ zaprowadzonych ceł na nasz handel wywozowy, warto się zastanowić: czy rolnictwo tutejsze jest rzeczywiście przedsiębiorstwem upadającem, za jakie je uważa ogół, a zwłaszcza sami interesowani?

Nie będę tu brał pod rachunek gorzkich skarg rolników; wiadomo bowiem, że jak świat światem, rodzaj to ludzi wiecznie niezadowolonych i wiecznie narzekających; lecz chciałbym wiedzieć, skąd bierze podstawę ogół, który chóralnie w takt piosenki

---

2)

DACHÓWKA.

SCENA IV.

Janina i Helena.

Helena.

Ależ ten twój Urban to kawał łobuza.

Janina.

Przy tobie nagle się zbisurmanił — aż mnie zadziwił.

Helena.

Naturalnie, taka biblijna, jak ty niewiasta, nie ma oczu na wady męża. Zaiste, mężczyźni są istotami nadzwyczajnej wstrzemięźliwości, jeżeli krępują się jeszcze wobec tego rodzaju żon.

Janina.

Helenko, jesteś młodą kokoszką, która rada dziobać się z każdym kogutkiem. Gdy zostaniesz kurą...

Helena.

Nigdy nie zostanę.

Janina.

A Karol?

Helena.

Cóż Karol? Będzie znał musztrę i słuchał komendy. Czy myślisz, że ja mu kiedykolwiek pozwolę rozebrać się z form dotychczasowej przyzwoitości, że będę mu uległa jak branka, że z ust moich wzbijać się będą ciągle nad nim zachwyty, że mu i z woli mojej ofiarę zrobię, że...

Janina.

To go nie kochasz.

Helena.

A bo wy czułe kochacie jak masło rozsmarowane na chlebie. Niech Karol zechce grać rolę Urbana... ja mu pokażę, którędy się z mojego pokoju wychodzi.

Janina.

Co ty za dzikie wyobrażenie masz o Urbanie!

Helena.

Bardzo wierne: widziałam, słyszałam i czytałam... twoje listy do mnie.

Janina.

Z tych listów mogłaś tylko wywnioskować, że jest bardzo dobrym człowiekiem.

Helena.

A ty zasmuconą tem jedynie, że tak mało masz sposobności do przebaczania mu grzechów.

Janina.

Dotąd nie miałam żadnej.

Helena.

A owa hulanka, z której wrócił tak rozbawiony, że kazał ci koniecznie wyliczać wszystkich sułtanów tureckich.

Janina.

No, cóż w tem zdrożnego. Koledzy wyprawili mu ucztę z powodu nominacyi na dyrektora i trochę przebrał miarkę. To przypadłość niewinna, zwłaszcza że i do wyliczania sułtanów niedługo mnie zmuszał. Zresztą, moja Helenko, chociażby on nawet posiadał jakąś przywarę w swym charakterze, wynagradza ją takiem mnóstwem przymiotów, że trudno ją liczyć. Zważ tylko, co on dla mnie, co dla nas wszystkich zrobił.

Helena.

Zważyłam.

Janina.

Za lekko. Nie zapominaj, że ożenił się ze mną, kiedy po stracie majątku i śmierci rodziców pozostałam prawie bez możności istnienia, wziął małego brata, dał w fabryce miejsce wujowi, pracuje jak niewolnik, jest najtroskliwszym ojcem i mężem. Wszystkim nam koło niego dobrze. A czy na tem koniec? Gdybyś ty wiedziała, ilu on biedaków na sobie dźwiga! Niczego nie pragnę bardziej, niż odbicia się charakteru Urbana w synach naszych. Wyznam ci otwarcie, że nie przypuszczałam, ażebyś go tak mało ceniła. Przecież także koszystać będziesz z jego dobroci. Przed chwilą, gdy mu powtórzyłam twoją prośbę, zgodził się uradowany.

Helena.

Ach, co za łaska!

o przesileniu rolniczem śpiewa tak głośno o nieszczęściach „naszych ziemian,“ iż zdawać by się mogło, że oni tylko jedni srodze są losem dotknięci, inne zaś przedsiębiorstwa w najbardziej kwitnącym znajdują się stanie.

Spokojniejszy i bezstronny pogląd na stosunki krajowe przekonywa łatwo, że względnie do ogólnych warunków wytwórczości rolnictwo nie jest znów tak bardzo upośledzone. Prócz utrudnień kredytowych, które rzeczywiście paraliżują jego działalność, inne czynniki wpływowe są obecnie wyjątkowo korzystne.

W pierwszym rzędzie postawić tu należy spadek naszej waluty, z czego rolnictwo pełną dłonią czerpie dla siebie zyski. W najgorszym co do cen roku zeszłym, pszenica osiągała 6 do 6.50 rs. za korzec, w roku bieżącym dochodzi 7.50 do 8 rubli. Że zaś najściślejsze obliczenia koszt pszenicy podają obecnie na 5 do 5.50 rs., pokazuje się, że rolnicy mają czem łzy obetrzeć i na *ceny* narzekać nie powinni.

Słyszymy bolesne żale co do utrudnionego *zbytu* produktów i chętnie byśmy w nie uwierzyli, gdyby nam jednocześnie wskazano, gdzie są nagromadzone zapasy niewyprzedanego towaru; boć jeżeli taka jest niesłychana trudność sprzedaży, a lat nieurodzaju nie mamy i ogólna produkcya się nie zniża, lecz stanowczo z każdym rokiem zwiększa, to po śpichrzach i składach rolników zebrać by się musiała spora ilość niesprzedanego towaru. Jeśli zaś tego nie widzimy, a stan zapasów krajowego zboża w obecnej chwili nie przenosi normy zwykłej, musimy narzekania w tym kierunku kłaść na karb frazesów, głoszonych dla ulżenia sercu... Mimochodem zaznaczamy tu również, że już w styczniu r. b. znaczne partye zboża przeszłorocznego w guberniach południowo-zachodnich zakontraktowano do Odessy, co nie świadczy chyba o utrudnionym zbycie w najbliższej przyszłości.

Wskazują nam na liczne subhastacye, jako na dowód przesilenia. Zapewne, Towarzystwo wystawia dziś znaczniejszą liczbę dóbr na sprzedaż, lecz jest to następstwo nie szczególnych jakichś wpływów, lecz ogólnego zastoju i upadku kredytu, dotykających zarówno rolnictwo, jak i inne gałęzie przemysłu.

Musi jednak ta ziemia nie być złym interesem, bo kapitał ostrożny i lękliwy nie stroni od niej zbytecznie i większość dóbr na licytacye wystawionych znalazła nabywców tuziemców. Jeżeli zaś ceny osiągane znacznie były niższe od dotychczas praktykowanych, uważać to należy jako reakcyę przeciwko nadzwyczajnemu wyszrubowaniu cen ziemi przed kilku laty do wysokości, nieodpowiadającej otrzymywanej renty gruntowej.

Przytem wiadomą jest rzeczą, że rolnicy, którzy warsztatami swej pracy kierują ze zrozumieniem rzeczy, posiadają dostateczny zasób wiedzy i rachunek kładą na szali — nietylko w stosunkach swych nie są zagrożeni, lecz położenie ich majątkowe, choć powoli, lecz stale się poprawia.

Jeśli do powyższego dodamy nizkie opodatkowanie ziemi u nas, łatwość robotnika i sprzyjające produkcyi warunki klimatyczne, nie trudno dojść do wniosku, że położenie naszego rolnictwa względnie jest znośne. Powiadam „względnie,“ gdyż ogólne położenie ekonomiczne świata nie jest tego rodzaju, żeby jakiekolwiek przedsięwzięcie ludzkie można dziś nazwać korzystnem. Postawieni w zależności od kapitalizmu, jęczymy wszyscy pod uciskiem tego wysysającego najżywotniejsze soki społeczeństwa smoka, lecz w porównaniu do innych przedsiębiorstw, zwłaszcza u nas, rolnictwa nie można uważać za pracę niewdzięczną. Ruiną jego również nie będą nowe cła, które „nasi ekonomiści“ uważają za groźne środki przeciwko nam wymierzone.

Szkoła manchesterska, której panowanie na zachodzie Europy do niedawna tak było przeważnem, upada, a jej zasady obala stary protekcyonizm. Prąd ten jest tak ogólnym, a powiedzmy — tak na razie praktycznym, że powstawać przeciwko niemu byłoby zbytecznem, tembardziej, że płacimy zachodowi pięknem za nadobne, posuwając system protekcyjny do ostatecznych granic.

We Francyi, zarówno jak w Prusach, główną siłą podatkową państwa jest rolnictwo, jego zatem powodzenie lub upadek stanowi o pomyślności kraju. Położeniem zatem rolnictwa szczególniej interesują się sfery rządzące.

We Francyi, po wojnie pruskiej, skutkiem nadmiernego przeciążenia podatkami, renta gruntowa znacznie się obniżyła, a gdy przytem olbrzymie dowozy taniego zboża z Ameryki wytworzyły poważne współzawodnictwo wytwórczości miejscowej, rząd ujrzał się zmuszony zerwać z systemem wolno-handlowym Napoleona III i wprowadzić cła od zboża. Cel tu był podwójny: zapomocą cła podnoszącego ceny na rynkach wewnętrznych wzmódz rentę gruntową, a z opłat zasilić fundusze skarbu. W jednym i drugim razie ciężar dźwigali bezpośrednio spożywcy. Umiarkowane jednak cło nie odbiło się dotkliwie na tych ostatnich, a rolnictwo przyniosło znaczne korzyści. Od 1879 roku po 1884 przywóz pszenicy do Francyi zmniejszył się o 11 milionów hektolitr. rocznie, czyli o tyleż powiększyła się natężona działalność produkcyi krajowej. Zaznaczyć tu należy okoliczność, że ceny zamiast podnieść się, spadły. Gdy w r. 1879 hektolitr pszenicy płacono 22 fr. 12 cent., w r. 1883 — 19 fr. za hektolitr. Zatem, nastąpiła nadprodukcya, a rolnicy, których wygórowane nadzieje nie ziściły się zupełnie, rozpoczęli silną agitacyę za nowemi ograniczeniami celnemi.

W r. 1885 Izba prawodawcza uchwaliła podniesienie cła do 3 fr. z cetnara metrycznego. Na następstwa tej nowej podwyżki zwracam szczególniejszą uwagę „naszych ekonomistów.“ Od 1885 do 1886 r. włącznie *cyfra przywozu pszenicy nie zmieniła się w niczem, a cena chleba podskoczyła olbrzymio*; gdy bowiem w 1884 płacono za 100 kil. chleba 17 fr. 86 c., w 1886 roku aż 22 fr. 73 c. Czyli: cło nowe nie zdołało już podnieść produkcyi, podniosło tylko rentę gruntową, a cały ciężar opłat nie dotknął importerów, lecz spożywców, czyli najuboższe warstwy ludności.

Stawiając wnioski co do szkodliwości ceł zagranicznych dla naszej produkcyi, należy ściśle wziąść pod uwagę okoliczności, które tu przytaczamy. Świadczą one; 1) że produkcya gruntowa, mimo największych ułatwień, jakie jej dajemy, ma swoje granice, określone warunkami przyrodzonymi, ponad które podnieść się nie może i że 2) prawodawca nie kieruje się sympatyami lub antypatyami narodowościowemi, lecz przedewszystkiem idzie mu o siłę podatkową państwa, choćby ją miał podtrzymywać z korzyścią jednych, a stratą drugich. W tym wypadku, wzmożenie wytwórczości rolnic-

---

Janina.

Helenko, drwisz z usługi, za którą winnaś wdzięczność.

Helena.

Nie rozumiemy się, bo widzę, że nie znasz jednej sprawki twojego męża, która ci go odsłoni należycie.

Janina.

Co takiego?

Helena.

To, że sam napisał do mnie, ażebym przyjechała i zamieszkała u was.

Janina.

On? I ty go jeszcze oskarżasz?

Helena.

Ja go bardzo szanuję i lubię, a ciebie chorą niepotrzebnie drażnię (całuje Janinę).

Janina.

Trzpiocie niepoprawny! Patrz, jaki on poczciwy! Przede mną ani słowa o tem nie wspomniał.

Helena.

Ale co ważniejsza, doniósł mi, że dla Karola zaraz po skończeniu uniwersytetu ma zapewnioną posadę chemika przy cukrowni.

Janina.

Urbanku mój, jakiś ty dobry! Gdyby tu był, ucałowałabym go jeszcze serdeczniej, niż zwykle. Żeby już wrócił! Aż mi zdrowie wróciło! O, nie daruję ci, chłopcze kochany, tego figla! (Wchodzi Paweł).

SCENA V.

Też i Paweł.

Janina.

Mąż wyszedł.

Paweł (zmieszany).

Tak... wiem... Ja przychodzę do pani.

Janina.

Proszę, usiądź pan. Czem służyć mogę?

Paweł (nie siadając).

Przykro mi bardzo, że muszę panią...

Janina.

Owszem, najchętniej ofiaruję moją pomoc, jeśli ona na coś się przyda.

Paweł.

Nie o mnie tu chodzi... (w uniesieniu): wolałbym do wroga wyciągnąć rękę po jałmużnę, niż przynieść taki dar losu. Jedna drobna przyczyna, jeden jej skutek, jedno o nim słowo — i cały gmach szczęścia wielu istot się wali, otwierając przed niemi wrota rozpaczy i ubóstwa.

Janina.

Nie poddawaj się pan tak boleści.

Paweł.

Czemuż ten grom mnie w usta włożono? (do Heleny): Odgaduję, że pani jesteś siostrą...

Helena.

Tak.

Paweł.

Muszę pomówić z panią na osobności. Jestem Paweł Zdzitek, szkolny towarzysz Urbana.

Janina.

Ja przeszkadzam?

Paweł.

Bynajmniej. Pragnę tylko uszanować pani niezdrowie, słabe siły... Chciałbym... błagam... okaż pani męztwo matki, której życia dzieci teraz jeszcze bardziej potrzebują.

Janina.

Co panu jest? Wyglądasz blady, rozdrażniony.

Paweł.

Nie czuję największej boleści własnej wobec widoku śmiertelnej rany w sercu cudzem.

Helena.

Mnie pan byłeś łaskaw wybrać za powiernicę swego smutku, więc usuńmy się i powiedz mi pan, jakiej ulgi od nas żądasz.

Paweł.

Przebaczcie mi panie — cios mnie ogłuszył, nie mogę, nie mam odwagi mówić jasno (do Janiny). Gdybym umiał panią zakląć na coś, na kogoś najdroższego z żyjących, ażebyś bohatersko zniosła...

Janina.

Przez litość, panie Zdzitek, dosyć tego. Dręczysz jakąś złowrogą zagadką kobietę,

twa zapomocą ceł ochronnych zostało już wyzyskane w 1879 i latach następnych, a chociaż w 1885 cła znacznie podniesiono, rolnicy francuscy nie zdołali więcej produkować; następnie cały ciężar podatku rozłożony został na ludność miejscową, a kraje wywożące nic na tem nie straciły.

Pokrewny fakt miał miejsce i po wprowadzeniu 3 markowego cła w Prusach. Gdy w czasie tym za pszenicę naszą osiągaliśmy 6 do 7 rs., za żyto 3.50 do 4 rs., dziś ceny nasze targowe notują pszenicę 7 do 8 rs., żyto 4.50 do 5 rs.

To samo nastąpi i obecnie, gdy cło od pszenicy podniesiono we Francyi do 5 fr. z quintala, a cło od żyta w Prusach zamierzają podwoić. Cła zapłacą spożywcy tych krajów. Naturalnie, wzgląd ważny stanowi tu kurs naszej waluty, ale na razie niema widoków, żeby zmienił się na lepsze, co gdy wreszcie przyjdzie, zbyt naszej produkcyi zapewnimy jakością towaru, jego starannem oczyszczeniem, czego dziś zupełnie nie zachowujemy.

Sądzę, że powyższe wyjaśnienie osłabi nieco przesadne obawy co do następstw nowych uchwał celnych w krajach, których jesteśmy dostawcami. Z drugiej znów strony zdaje mi się, że te ciągłe strachy i grobowe przepowiednie, w stronę rolnictwa wysyłane, ustąpić winny miejsca spokojniejszym i trzeźwiejszym zapatrywaniom. Chociaż bowiem położenie nie jest świetne i następstwa ogólnego przesilenia dotkliwie rolnictwu dały się we znaki, to jednak przemysł ten ma przed sobą widoki trwałego bytu, jeśli tylko kierować nim będą inteligencya i praca.

R.

BADANIA NAUKOWE.

PRZEŁOM W SOCYOLOGII.

I.

Socyologia gabinetowa wobec poszukiwań źródłowych.

Wyobrażenie o nieznanem kształtuje się zawsze według wzorów znanych, najczęściej zaczerpniętych z bezpośredniego otoczenia. Europejska socyologia, obracająca się przez długie czasy wyłącznie w szrankach społeczeństw historycznych, uprawiana przytem w gabinecie, nosi na sobie w najwyższym stopniu piętno takiego subjektywizmu. Historycy znajdują na zaraniu życia dziejowego rodzinę patryarchalną; śledząc zaś za urządzeniami społecznemi, wszędzie, jako jednostkę gospodarczą społeczności, napotykają grupę rodzinną, opartą na zwierzchnictwie mężczyzny, a poddaństwie kobiety. Wysnuto też odpowiednie po temu wywody. Koło takie, złożone z samowładnego ojca, z posłusznej mu kobiety, z ilości pewnej potomstwa — oto pień, z którego wyłoniły się oddzielne ludy. W miarę rozpadania się pierwotnej rodziny, linia starsza obejmowała rządy nad młodszemi, władza jej polityczna stanowi tylko dalsze zastosowanie ojcowskiej. W ten sposób do stosunków patryarchy względem żony, dzieci i służby, sprowadzono wszystkie prawa społeczne, polityczne i ekonomiczne. Ku temu dołączono wpływy podbojów — ludy uciemiężone dały warstwy niższe, najezdcy — wyższe. Teorya ta, według wzorów historycznych odtwarzająca przebieg rozwoju społecznego, utrzymała się w nauce, lubo z niejakiemi zmianami, po dzień dzisiejszy. Wynikły one z przyjrzenia się materyałowi etnologicznemu. Wprawdzie człowiek biały, przyzwyczajony od dzieciństwa do oglądania wiadomych stosunków i kategoryj społecznych, napojony określonemi wyobrażeniami religijno-etycznemi, oraz stosownemi uczuciami wstrętu i sympatyi, znalazłszy się w obcem otoczeniu społecznem, poczyna tłomaczyć je odpowiednio do modeł europejskich *). Ależ i najbardziej subjektywni zbieracze faktów etnologicznych zauważyli stosunki, których żadną miarą niepodobna było przykrajać do skali historycznej, np. swobodę zupełną w obcowaniu płciowem, jawne nieposłuszeństwo „pospólstwa“ względem „królów,“ nieuszanowanie „własności,“ wybieralność „szlachty“ itd. Przyzwyczajenie nie pozwalało na ocenę rzetelną; pojmowano więc to wszystko nie jako przebłyski zgoła odmiennego ukształtowania społecznego lub przejawu odrębnej formy własności i rodziny, lecz uważano jedynie za dowód braku wszelkiego uspołecznienia, za świadectwo rozpusty, złych popędów, nieistnienia własności. Takie oświetlenie przedmiotu przykrajano do teoryi pochodzenia gatunków i na tle tem zaszczepiono pojmowanie dawniejsze, wyprowadzające z rodziny patryarchalnej cały układ społeczny. A zatem twierdzono, że dzikim, jako pomostowi pomiędzy człowiekiem ucywilizowanym a światem zewnętrznym, musi zbywać na wszelkiej organizacyi społecznej. Znajdują się oni w stanie zupełnej anarchii i bezładu, panuje tu tylko prawo pięści bez żadnych wędzideł. Rodzina, własność, posłuszeństwo powagom—to pojęcia, do których albo zgoła nie doszli, lub doszli tylko częściowo. Rozwijają się one wszystkie z przywłaszczenia. Z łupów wojennych i broni, wyrobionej własnoręcznie, wywiązuje się idea o własności. Mężczyzna, jako mocniejszy, przy-

*) Dla przykładu weźmy starożytny Meksyk. „*Monarchę* zawsze wybierano z pomiędzy braci zmarłego, lub w braku ich, z pośród siostrzeńców... Posiadał władzę *nieograniczoną*; otaczano go szacunkiem *służalczym* i co do przepychu ceremoniału, dwór meksykański przypominał dwory *najdespotyczniejszych* mocarstw Wschodu. Poniżej na jego rozkazy mamy liczną *szlachtę* dziedziczną itd.“ (Letourneau *L'evolution de la morale*, 1887, str. 244). A jednak cały ten obraz nawskróś jest fałszywy, jak dowiodły badania Morgana. Owo „państwo monarchiczne“ było po prostu związkiem trzech plemion, który sholdował kilka sąsiednich, rządził się przez radę związkową i posiadał najwyższego wodza wojennego. Plemiona rozpadły się na pomniejsze koła, oparte na wspólności krwi, z których każde posiadało przywódcę cywilnego i wodza wojennego, podległych zasadzie wyboru i odpowiedzialności. Ustawa była demokratyczną, bo ogół ludu mógł usuwać od godności nawet najwyższych dostojników w razie niespełniania obowiązków. Tymczasem zdobywcy wszystko zobaczyli w świetle europejskiem: zwyczaj wybierania dostojników z tej samej rodziny poprowadził ich do stworzenia szlachty dzisiejszej na prawach feodalnych, głównego wodza wojennego uczynili samowładcą. Na grunt meksykańskiej demokracyi wojskowej przenieśli wszystkie postacie feodalno-monarchicznej swej ojczyzny. Przerzucając Gerlanda, Bastiana, Letourneau, opisową socyologię Spencera i inne prace, będące próbami uporządkowania materyału faktycznego, napotykamy wciąż kategorye społeczne, bezwarunkowo obce otoczeniu, w którem je osadzono.

---

która ledwie powstała z ciężkiej niemocy. Odwiedź nas, gdy Urban będzie w domu.

Paweł.

Będzie niedługo.

Janina.

Aż o czwartej.

Paweł.

Zaraz...

Janina.

Skąd pan wiesz? Przyrzekł?

Paweł.

Nie, ale... zachorował.

Janina.

Urban? Zachororował?

Helena.

Przed chwilą zupełnie zdrów wyszedł.

Paweł.

Gdy przechodził koło fabryki, dachówka spadła i...

Janina.

Zraniła go? Może niebezpiecznie? Mówże pan!

Paweł.

Spadła i...

Janina.

Człowieku, miłosierdzia! I — co?

Paweł.

Rozcięła mu głowę.

Janina.

Czemu pan sączysz mi tę wiadomość po kropli, kiedy on potrzebuje opieki. Helenko, biegnijmy co prędzej!

Paweł.

Zostań pani, tu go przyniosą.

Janina.

Oszalałeś pan! Mam czekać!

Paweł.

Pani nieszczęśliwa, Urban... nie żyje!

Janina.

Pan kłamiesz!.. Pan bluźnisz!.. Pan... tylko przypuszczasz — prawda? Co usłyszałam? Urban — nie żyje? Pomocy! Urbanie, ratuj! Szatany rozdzierają mi piersi... wyszarpują mózg! Gdzie ty jesteś? Mężu mój! Dzieci, wołajcie ojca! Ucieka... w widmo się rozpływa... krew twarz mu oblewa... Światło moje gaśnie... ciemność całun rozpościera... Urbanie!

Helena.

Janinko, uspokój się...

Janina.

Idzie? Dachówkę ma w ręku... Skarci mnie, że się tak przeraziłam... Słyszę kroki na schodach... stąpania ciężkie, ale nie jego... Niosą... Urbanie! (biegnie do drzwi i pada).

Helena.

Zemdlała... Daj pan wody (Paweł nalewa wody w szklankę i podaje). Janinko, siostro biedna... (do Pawła). Czy rzeczywiście go niosą?

Paweł (otwiera drzwi i patrzy).

Tak.

Helena.

Więc nie żyje?

Paweł.

Wierz mi pani, że wskrzesiłbym go, gdybym mógł.

Helena.

Niech go przynajmniej złożą w innym pokoju — nie tu (Paweł wychodzi). Janinko, stało się, zapanuj nad rozpaczą (Paweł wraca). Co ja pocznę? Widzę tylko jakąś nagle rozwartą, czarną otchłań, w którą los okrutny rzuca garść nieznanych istot ludzkich. Za co i na co ta ofiara? Więc żonę, dzieci, wszystkich, których on swoją siłą podtrzymywał, dachówka ze szczęścia strąci w niedolę? Panie — czy ja dobrze tę grozę rozumiem?

Paweł.

Niestety, pani, tak urządziliśmy sobie istnienie społeczne, że gdy przypadek zabije jednego człowieka, wielu, których on podpierał, pada za nim. Tak jest, nieraz dachówka wyrokuje o życiu naszem.

W. O.

swaja na swe posiadanie wyłączne branki wojenne — oto początek rodziny i zwierzchnictwa ojca nad żoną i dziećmi. Według władzy ojcowskiej kształtuje się władza w plemieniu; zuchwalszy, silniejszy i przebieglejszy zniewala hordę do zasięgania rady lub słuchania rozkazów i wreszcie przywłaszcza prawo sędziowskie. Wyłania się stąd monarchia; zdobywcy ujarzmiają zwyciężonych, kiełkuje szlachta i gmin niewolniczy. Władza naczelna dobiera, w miarę wzrostu złożoności spraw, pomocników: generałów, sędziów, itd. itd. Ludzkość idzie od chaosu do porządku, od jednorodnego ku różnorodnemu, od despotyzmu i wojny ku wolności i przemysłowi, a rozwój zasadza się na ilościowem wzmaganiu cech odpowiednich. Takiem jest ostatnie słowo socyologii gabinetowej, czy to weźmiemy Spencera, Letourneau lub Hellwalda, czy też któregokolwiek innego. Zna ona tylko dwa typy układu społecznego: wojenny, oparty na ślepem posłuszeństwie z dołu i rozkazie z góry, oraz przemysłowy, spoczywający na wolnej umowie; armia i kontrakt najmu — oto wzory, według których ukształtowano sam podział.

W ten sposób powstał okazały gmach wywodów, w którym znajdujemy i zręczność rozumowania, i logiczność w wnioskowaniu, i jasność wykładu — wszystko, krom rzetelnego przedstawienia kwestyi. Uczeni z gotowemi *a priori* ramami ewolucyi społecznej przystępują do szukania materyału faktycznego na potwierdzenie wniosków. Oczywiście, taki szemat, już z góry powzięty, bywał wysnuty zgodnie z modłami europejskiego otoczenia społecznego i pozwalał na zauważenie faktów mu nieprzeczących, które zresztą wobec subjektywizmu podróżników istniały w mnóstwie wielkiem. Sposób ten prowadzenia badań, zdala od spostrzeżeń bezpośrednich nad bytem społecznym ludów niższych, co najwyżej mógł jedynie wydać mniej lub więcej zręczne tłomaczenia sprzeczności, zawartych w opisach podróżniczych. Nic też dziwnego, że wobec badań bezpośrednich całe to rusztowanie wali się w gruzy. Przewrót przyszedł z za morza, lecz początek mu dała sama Europa, jeszcze przed laty trzydziestu. Wyłonił się on tutaj w pojedynczych dziedzinach nauki społecznej, bo tylko badacz, zbierający źródłowo materyał i zgodnie z nim snujący uogólnienia, mógł mieć nowe światło, praca zaś taka ze względu na obszerność sfery zjawisk musiała ograniczać się na szczupłych zakresach. Przedewszystkiem poddano w wątpliwość krążące pojęcia co do dziejów własności ziemskiej. Prace uczonego niemieckiego Maurera wykazały, że niegdyś w Niemczech istniała zbiorowa własność marchialna gruntów rolnych (z indywidualnem użytkowaniem w okresie późniejszym), łąk i lasów. Jednocześnie dowiedziano się, że taka spółkowina rolna z indywidualnem użytkowaniem przechowała się tu i owdzie w Rosyi. Badania Maine'a dowiodły istnienia takiego stanu rzeczy u hindusów. Pod wpływem tych odkryć zaczynają się poszukiwania nad przeszłością ludów europejskich — wszędzie kolektywna własność ziemska, lubo z indywidualnem użytkowaniem gruntów ornych, występuje na zaraniu prywatnej *). Wraz ze zbiorowem posiadaniem ukazuje się powszechnie zbiorowość spożycia — spółkowina domowa, oraz zgoła odrębny układ stosunków, oparty na węzłach pokrewieństwa. Obecnie za spoidło porządkowi społecznemu służą stosunki terytoryalne i ekonomiczne; związek jednostki z innemi i użytkowanie z organizacyi społecznej określa się miejscem zamieszkania, prawa—stanowiskiem ekonomicznem. Inaczej wśród społeczeństw, których rysy odtwarza Maurer i Maine. Łączność krwi występuje zamiast terytoryum; plemię rozpada się na mniejsze koła, stanowisko osoby i prawa zawisły od pochodzenia, mianowicie, czy z urodzenia należy do wiadomej grupy, czy też stoi po za nią. Zarząd, zamiast kształtowania się według umiejscowienia interesów ekonomicznych, układa się stosownie do porządku kół pokrewieństwa. Ustawa jest demokratyczną, urzędnicy wychodzą z wyboru, gmin rządzi sprawami, solidarność zaś wzajemna stanowi podstawę pożycia. Maurer kreśli, jak plemiona teutońskie osiedlają się według takich kół pomniejszych, jak solidarność pierwotna rozpada się na grupy indywidualne i jak powstają wsie i miasta, dwory i poddani, jak powoli wyłania się feodalno-terytoryalny ustrój wieków średnich z właściwemi sobie instytucyami prawnemi. Maine znowu maluje porządki prawne spółkowin rolnych i domowych. Obaj uczeni, w przeciwieństwie do dotychczasowych teoryj socyologicznych, jako najgłówniejszy czynnik ewolucyi społecznej wydobywają, zamiast podbojów i wojny, samoistny rozwój stosunków ekonomicznych. Jednocześnie Bachofen odsłania nowe widnokręgi w dziejach rodziny. Badając starożytność klasyczną Grecyi i Azyi Mniejszej, zwłaszcza myty religijne, zauważył, że kobieta zajmowała ongi stanowisko odrębne od teraźniejszego. W ten sposób doszedł do panowania niegdyś bezładnego obcowania małżeńskiego, do istnienia szczególnego prawa społecznego, przezwanego przezeń matczynem a zasadzającego się na tem, że kobieta przewodziła społeczeństwu, dziecko dziedziczyło nazwisko i majątek po matce, po mężczyźnie zaś spadkowało potomstwo sióstr jego. W kilka lat później i niezależnie od uczonego niemieckiego, do podobnych poglądów dochodzi Mac-Lennan. Heteryzm — oto pierwotna forma stosunków małżeńskich, zradzająca spadkowanie w linii żeńskiej.

Wspomniane badania, jakkolwiek głębiej sięgały, nie wyczerpywały przedmiotu. Maurer zamknął się w zakresie ludów teutońskich, do których przystępuje z chwilą poczęcia się źródeł historycznych. Przez jakie koleje przechodziły one poprzednio, na czem zasadzało się ówczesne ukształtowanie wewnątrz plemienia (mianowicie co do podziału jego na mniejsze koła), wszystko to pozostało nietknięte, bo nawet i nie mogło być inaczej dla braku materyału. Maine, lubo szersze obejmuje przestrzenie, gdyż rozgląda się po różnych gałęziach rasy aryjskiej, rozpoczyna badania od tej epoki, gdy prawo ojcowskie służyło już za podstawę stosunków rodzinnych; wybitny ten uczony jest po dziś dzień zwolennikiem wyłączności dla rasy aryjskiej, która, zdaniem jego, trzymała się zawsze rodziny patryarchalnej. Bochofen w dziełą swoje wplótł taką fantastyczność, że wprost odstręczał od siebie. O Mac-Lennanie, jakkolwiek wywarł swego czasu wpływ potężny, nie ma co mówić; tu i owdzie rozsypane przebłyski wylatywania po za atmosferę lepienia teoryjek według „widzimi się“ subjektywnego są arcyrzadkie i pogrążone, jak dowiódł Morgan, w nieuzasadnionych i nieistniejących kategoryach „żenienia się wewnątrz“ i „zewnątrz plemienia“ („endogamia“ i „exogamia“). Zresztą tylko ten jeden badacz nie poprzestał na ludach, które doszły już pewnego dość wysokiego stopnia uspołecznienia; inni nie wykroczyli po za takie szranki, blizkie cywilizacyi. W każdym razie gmach, wzniesiony przez tę garstkę uczonych, do których zaliczamy Mac-Lennana tylko gwoli wpływowi przezeń wywartemu, był bez podstaw u dołu, bez klucza do pięter górnych. Dostarczyć tego mogły bezpośrednie badania nad ludami niecywilizowanymi, przeprowadzone, jeśli nie z ogromnym zasobem wiedzy, to przynajmniej z całą sumiennością i przedmiotowością, t. j. notujące co istnieje, bez względu na wysnute w gabinetach teoryjki. A zatem rozszerzenie widnokręgów socyologii mogło nastąpić jedynie ze strony badaczy po za europejskich — i tak się stało rzeczywiście. Przewrót wychodzi jednocześnie z kilku punktów, z Indyj wschodnich, z półwyspu malajskiego, Ameryki, Australii. Wiadomo, co za błąd popełnił rząd angielski w Indyach wskutek wniesienia w tamtejsze stosunki ekonomiczne europejskiego subjektywizmu społecznego. Poborców podatku pojęto jako feodalnych właścicieli spółkowin rolnych — i potwierdzono w tych nieistniejących prawach! Skutki nie dały długo na się czekać, i dopiero dzięki sprawionemu zamieszaniu spostrzeżono odmienność i prawa zwyczajowego i stosunków własnościowych. Wyłoniono jedną i drugą komisyę ku zbadaniu sprawy — Maine czerpał właśnie z nagromadzonego przez nie materyału. To samo zdarzyło się w koloniach holenderskich i w N. Zelandyi, a na zasadzie takich źródeł urzędowych powstają dzieła o miejscowem prawie zwyczajowem, rodzinie i własności (np. Verkerk Pistorius o rodzinie malajskiej, prace anglików o zwyczajowem prawie Pendżabu itd.). Ale rzeczywistej rewolucyi dokonał dopiero amerykanin Morgan dzięki wszechstronności gromadzonego przez 40 lat bezpośrednich badań materyału i wysnutych stąd uogólnień. Obok prac tego uczonego wypada postawić zbiorowe dzieło dwóch misyonarzów, Fisona i Howitta (*Kurnai and Kamilari*, 1880, Sydney), stanowiące rezultaty długoletniego doświadczenia bezpośredniego nad bytem społecznym australijczyków. Około tych poszukiwań pierwszorzędnych grupuje się mnóstwo pomniejszych, przeważnie monografij tego lub owego pojedyńczego szczepu. Wszystko to również owoce długich badań bezpośrednich, dokonane często bez najmniejszej znajomości tego, co już zdziałano na tem polu, a przecież dostarczające najlepszego potwierdzenia; tu należą np. prace Kubarego nad karolińczykami i pelauczykami. W ostatnich czasach do wywodów Morganowskich świeżą wiązankę faktów dorzucił amerykanin Powell; jedna praca jego (*Wyandot Government*, 1881) ukazuje nam u indyan wyandotów tę samą organizacyę rodową, którą tamten znalazł u irokezów; druga (*Outlines of sociology*, 1882) rzuca światło na bodźce, pod którymi prawo matczyne przechodzi u czarnoskórych w ojcowskie. Prace tego rodzaju ukazują się w coraz większej ilości. Ulotnym i powierzchownym spostrzeżeniom dotychczasowych podróżników przeciwstawiają one materyał, zebrany przez długie lata wskutek systematycznego wglądania w sprawy i pod naciskiem faktów zmuszają socyologię gabinetową do zupełnej przeróbki wywodów. Wpływ taki wywarły już dzieła Maurera i Bachofena; wystarczy tu wskazać na poszukiwania nad spółkowiną i urządzeniami rodzinnemi barbarzyńskich przodków obecnej Europy. Prąd ten, dzięki wynikom socyologii zamorskiej, zyskuje na sile, ale wszystkie prace, o ile nie biorą się do zbadania pierwocin społecznych naszej części świata, muszą pozostać tem, na co osądza je sama jakość materyału — mianowicie kompilacyą mniej lub więcej wiarogodnych danych z ręki drugiej, ułożoną według z góry powziętych ramek. Wartość zależy tu od pewności materyału, tymczasem sprawdzić go nie może badacz europejski. Wśród dzieł takich możemy wskazać zwłaszcza studya Wilkena i Giraud-Teulona nad rodziną, Robertsona Smitha nad ustrojem społecznym starodawnych arabów i Zibera nad stosunkami ekonomicznymi ludów pierwotnych.

Znając już stanowisko Morgana w tegoczesnej socyologii, przejdziemy do określenia głównych wyników jego poszukiwań.

Lud. Krz.

---

*) Do spopularyzowania tych wyników dużo się przyczynił Laveleye. Krom tej, dzieło jego *De la propriété* nie posiada głębszej wartości.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

VI.

Trochę teologii.—Joanna V..... w obronie niewiast.—Plan stworzenia. — Nieśmiertelność duszy p. Dębickiego, w drugiem wydaniu.—Psychopannychia.—Nawróceni.

Z mroku wieków średnich wychyla się ku nam posępna mara. Zwykły jej orszak, złożony ze stosów gorejących, żelaznych dziewic i wideł szarpiących piersi, szczypców zdzierających pasy i kłódek gruchoczących nogi, pozostał w tyle, lecz ona sama, choć wybladła nieco, trzyma się jeszcze dobrze i szczycze swą dewizę odwieczną: *filozofia est ancilla theologiae*! Jeszcze przed nią głowy skłaniają wszechnice Niemiec i całego Zachodu, jeszcze w karbach stalowych trzyma myśl, dla czegoż bym więc ja nie miał jej jednej gawędy poświęcić? Literatura karmi się tym produktem obficie, zaczerpnę go więc w dłoń i słuchaczom moim do skosztowania podam.

Ale damom pierwszeństwo. Ich to bowiem płci nadobnej przedstawicielka, panna lub może pani Joanna V....., skromnie nazwisko swe ukrywająca, składa hojną daninę świętej nauce. Tytuł jej dzieła *Sprawiedliwość boża i postęp ludzkości* brzmi nader obiecująco, dopóki nie spostrzega się wymownego dodatku: *zawarte w dogmatach i sakramentach katolickich*. Na długo do wnętrza zajrzeć nie mam odwagi. Boję się tego widoku rozmodlonej dewocyi, histerycznych spazmów i wyławiam tylko jedną ideę, do tego przewodnią, która ma jakie takie pozory oryginalności. Nie tej jednakże, co to śmielszym pomysłem olśniewa, lub w autorze odrębny ustrój duchowy zdradza, lecz tej, która pozwala książce utrzymać się na powierzchni oceanu piśmideł religijnych, a z nim nie zlać się. Bywają w tej szczególnej dziedzinie setki kontemplacyj podobnych do siebie, jak krople dżdżu, ta mniej, tamta więcej trochę mętna; ale bywają niekiedy inne, bodaj jednym często humorystycznym motywem od reszty się odróżniające. Nasza „myślicielka" obrała sobie za cel podnieść godność kobiecą w Starym i Nowym Testamencie. Zdawało jej się, że rola Ewy w dziejach pierwszych ludzi rzuca plamę na cały ród niewieści, i zapragnęła z tego zarzutu oczyścić ją. Pod wpływem przywidzenia, że słabsza połowa ludzkości jest upośledzoną, zamierzyła wywalczyć jej bezwzględne równouprawnienie, naturalnie, nie w twórczej pracy rąk lub rozumu, lecz w obrębie „wolności," czyli innemi słowy—w obliczu kościoła. Maleńki kąsek tej zdobyczy przypadł w udziale doczesnym sprawom, w których równy podział przywilejów wypływa z górnego stanowiska kobiet w historyi świętej. Mężczyzna przemocą tylko zagarnął władzę nad swemi towarzyszkami i ubrdał sobie, że Opatrzność go do niej upoważniła. Ale to kłamstwo wierutne. Kiedy Pan Bóg stworzył Ewę z żebra Adamowego, trzymał go w uśpieniu — czegoż to dowodem? Że wola pierwszego człowieka nic tu nie znaczyła — obeszło się bez jego współdziałania i przytomności, tak przeto winno być i nadal. W tym duchu p. Joanna V. komentuje wszędzie odnośne wyroki w listach św. Pawła. Bluźnią ci, co twierdzą, że niewiasty greckie, np. koryntyanki cieszyły się większą w życiu publicznem powagą. Jakaż to cześć, która czyni je królowami uczt i orgij, kapłankami Bachusa i Wenery?

Erudytka tarza się rozkosznie w nawale argumentów biblijnych. Przewertowała wszystkie postacie cnych prababek hebrajskich, Rebeki, Sary, Debory, Judyty i z tryumfem zesztukowała ułamki ich dobrej sławy w całkowite apoteozy. Głębokie rozprawy o *Winnicy Pańskiej* i *Godach w Kanie* galilejskiej, których tutaj nie powtarzam, w obawie by siła ich nie przekonała czytelników *Prawdy* i nie nawróciła nagle — wychodzę z tego samego założenia — rehabilitacyi kobiet duchowej i duchownej. Wspaniałe to rusztowanie ozdobiono wieńcem rysunków i tablic, objaśniających bliżej plan stworzenia. Cóż w nich wyczytuję? Niezmiernie wiele. Dzieło wydobycia wszechświata z chaosu składa się z dziesięciu aktów. Liczba czarodziejska, bowiem nastręcza moc tajemniczych a cudownych kombinacyj. Pierwszym jest — wyłonienienie z nicości nieba i ziemi, drugim — światła, trzecim — firmamentu itd. wreszcie dziesiątym, idącym po chwili ulepienia człowieka — narodzenie się kobiety. Tym sposobem sama kosmogonia Pisma świętego czoło jej koronuje. Lecz dla umysłu opromienionego łaską Bożą na tem nie koniec. Rozpoczyna się wielkie mysterium zapełnienia niebios aniołami, archaniołami, cnotami, cherubami i serafami. Kilka klas opuściłem, gdyż wszystkich jest dziewięć. Owóż na pograniczu tworów ziemskich a istności niewidzialnych stoi kobieta, i na drabinie, z dziewiętnastu powyższych szczebli zbudowanej, zajmuje środkowy. „Umieszczona między niebem a ziemią, niewiasta winna być uważaną za alfę i omegę bytu skończonego i stanowi przejście do krainy wiekuistości." Amen.

Krwawi się serce na myśl, że ksiądz Pikulski, prawdziwy współ-geniusz autorki spoczął już w grobie. Nie możemy zawiesić obok siebie dwóch tych portretów, tak charakterystycznych — ale co najwyżej porównać ich fizyognomie duchowe. Lubownikom dziecięcej scholastyki pracę taką polecam. Nie uszczęśliwią nią kobiet — to prawda, ale wykażą, że nie sama logika szczyci się niezmiennemi prawidłami; większa od niej sfera niedorzeczności rowniеż zawsze i wszędzie wylęga dziwy.

To była teologia bezogródkowa, wolna od roszczeń filozoficznych, bo i daleka od myśli, że filozofia czegośkolwiek nauczyć może, w swej służebniczej często wartości. Dewizą przedsięwzięcia jest tam znak krzyża św., wyrażony otwarcie słowami: „W imię Ojca i Syna i Ducha świętego — etc.", wiernie zachowaną została cała jej nictykalność, zdolności tłomaczenia objawionych tekstów — cała mistyczność.

Ten charakter naiwny, a prostoduszny, zamknięty zupełnie w obrębie bajań, powoli zanika. Teologia nowoczesna przez samą już dbałość o własną skórę musi kiedy niekiedy wyzierać na szerszy świat, przyglądać się machinom piekielnym, które nauka przed jej murami, niegdyś potężnie obwarowanymi, ustawia, mierzyć niebezpieczeństwo i... niestety — bronić się. W tej smutnej konieczności pojawiły się rozmaite szkoły strategiczne, z których jedna, najbardziej rozpowszechniona, polega na tem, ażeby nieprzyjaciela bić własną jego bronią. Zbyteczna dodawać, iż jest to w najlepszym razie nędzny falsyfikat oręża filozoficznego, ładnie połyskujący, ale miękki i kruchy, jak kije z papki, używane na scenie.

Do hałaśliwych szermierzów tego kierunku u nas należy p. Dębicki. Z obu utworami jego, osobliwie zaś *Nieśmiertelnością duszy*, ogół dawno już zapoznał się. Lecz jeśli autorowi ich wolno przyznawać się, iż pobudki czysto osobistej natury skłoniły go do zapuszczenia się w labirynt zagadek teologicznych — co prawda nazywa je filozoficznemi — wolno i mnie uderzyć się w piersi i prosić o przebaczenie, żem dopiero teraz do źródła sięgnął i ten „postulat filozoficzny przyrodoznawstwa" przeczytał. Wszystko jakoś składa się na to, by wzbudzić dlań zaciekawienie: i drugie wydanie, które niewielu szczęśliwców bywa udziałem i pean chóralnych pochwał, którego echa poprzez lat kilka teraz jeszcze do uszów moich dochodzą.

Otrząsam się z satyry i stroję w powagę, ażeby uniemożliwić wszelki zarzut płochości i stronności. Ale doprawdy, gdyby jakiemuś przeciętnemu mędrcowi francuskiemu lub angielskiemu dano do przejrzenia sądy naszych urzędowych wielkości o dziełku p. Dębickiego, a potem i samą książkę — doszedłby do czarnych wniosków o umysłowości polskiej. Jakto — to się nazywa pracą naukową! Więc wolno nazywać reakcyę zmęczonych nerwów „filozofią"? Wolno mu, nie zbadawszy gruntownie tego, co wypowiadają prawa biologii, krytykować znakomitych przyrodników i z błotem ich mieszać, dlatego tylko, że są odrębnego na wszechświat poglądu? W jakimże to kraju i w jakiej epoce pisarz, nie mogąc wcale objerzeć przedmiotu ze wszystkich stron, po prostu dla jednostronności swego wykształcenia — łata braki swoje cytatami! Na jakimże to globie — bo chyba nie ziemskim — metoda naukowa równa się statystyce zdań? Ponieważ dwa tysiące uczonych oświadcza się za istnieniem niezależnego ducha, a tysiąc pięćset przeciw, zatem pierwsi mają słuszność, a drudzy to tylko „podkopywacze nadziei chrześciańskich?" Mówił nieboszczyk Lam, że powieść polska zeszła na psy — powiedzcież mi: na cóż zeszła metafizyka nasza?

Wolno każdemu zabierać głos w dyskusyach, choćby wiejskim prostaczkiem był. U nas na miększem posłaniu z lenistwa i apatyi śpi sobie smacznie filozofia — niech więc będzie pozdrowionym każdy, kto ją rozbudzić usiłuje najmniejszym bodaj przyczynkiem, byleby tylko pamiętał, że pogadanka, albo raczej połajanka na rzecz obozu przeciwnego — to nie traktat, a płytkie koncepty, zdolne co najwyżej zabawić ciemnego braciszka klasztornego, to nie argumenty. Niejednemu przecież księdzu zdarza się potrącać z ambony o Darwina, Spencera — niedawno były tego przykłady — ale żaden z nich nie podszywa się pod płaszcz „myśliciela," a niedzielnych swych deklamacyj nie nazywa „postulatami filozoficznymi."

I czegóż to wreszcie uczy z takim ferworem i machaniem rąk p. Dębicki? Że duszy niepodobna objaśnić należycie zbiegiem praw fizycznych i chemicznych i przeto należy przyjąć samodzielne jej istnienie. Szeregiem wykrzykników nad mądrością i celowością ustroju kosmicznego i organicznego dowodzi, iż musi być jakiś duch twórczy a rozumny. Na to zgoda. Minęły już czasy metafizycznego zacietrzewiania się, kiedy ludzie wiedzy staczali walki zażarte o to, jaką postać ma przyczyna wszechbytu, oraz w jaki sposób dusza jednostkowa łączy się z ciałem. Niechaj tylko nikt nie dmie w dudkę Platona lub Descartesa i nie głosi, że umysł to para lub cień, mogący się obchodzić bez materyalnej powłoki, a resztę można mu darować. Tej granicy logiki p. Dębicki przestrzega z początku, a więc bez obawy wprowadzenia zamętu do głów nieprzygotowanych może sobie dumać głośno o szczegółach tego elementarnego połączenia. Może śmiać się z rozmaitych teoryj przemiany materyi ożywionej, powoływać się na nieprzerwalność i absolutną jedność jaźni, nieświadomy wątpliwości, z jakiemi dzisiejsza psychologia patrzy na nią. Ale w dalszym ciągu opuszcza go trzeźwość; bo nie zarzekłszy się podwaliny monistycznej, otrębuje mistyczne zmartwychpowstanie! Cieszę się sknero! Obudzisz się jeszcze i to nieogołocony z rąk, któremi mógłbyś liczyć dukaty, nie bez łakomych ślepi, które blaskiem złota pasiesz — ale cały, ba, może jeszcze podlejszy i bogatszy! Lecz wprzód umrzesz, popadniesz w drzemkę, o której mówi ewangelia. Odpoczniesz po trudach wyzysku, wyciskania łez nędzarzom i złożonej buchalteryi. Zgon taki wróży „filozofia" zgodnie z orzeczeniami soborów. Lecz jak długo trwać on będzie?— gotów jesteś zapytać. O to mniejsza — odeprze p. Dębicki. Dla umarłego (czytaj uśpionego) czas nie płynie; minuta i wieczność są dlań zarówno *zerem*. Lecz tu chodzi *o nas, żyjących*, o spragnionych na puszczy zwątpienia, dla których „postulaty przyrodoznawstwa" mają być laskami Mojżesza; my chcielibyśmy

wiedzieć, jak długą będzie psychopannychia. „Kwestye te musimy zostawić bez odpowiedzi,“ zapewnia autor (str. 202).

Sceptycy niepoprawni, wobec tego dowodu uwierzycie chyba, że nieśmiertelność duszy jest „postulatem filozoficznym przyrodoznawstwa.“

Korci mię, ażeby zadać jedno pytanie p. Dębickiemu. Jak zamierza on podziałać na zbłąkanych, określonych rozmaitymi paragrafami kodeksów karnych? Mnie bo się zdaje, że mając sobie pozostawioną swobodę kurczenia lub wydłużania okresu śpiączki pośmiertnej, przeniosą to drugie i spokojni, że nie ockną się tak prędko, broić będą z podwójną energią. P. Dębicki, choć roztacza na pokaz swoje oczytanie filozoficzne, jak paw' ogon różnobarwny, ani na jotę nie przekracza mety, zakreślonej przez kościół, i każdy swój wywód sprawdza probierzem katechizmu; ale czy jego apostolstwo przymnoży świętych — śmiem wątpić. Wprawdzie już teraz spotykam dźwignięte na cześć jego w pewnych grotach literackiego kondotierstwa ołtarze, ale doprawdy, gdybym był teologiem, tem różnym od niniejszego, że wierzyłbym w swoje sofizmaty — wolałbym sam podeptać je, niż być takiego zaszczytu ofiarą.

Robon Dion.

LITERATURA I SZTUKA.

Z FRANCYI.

Paryż, 20 kwietnia.

Zola na scenie. — *Renée* i *Ventre de Paris*. — Uroczyste przyjęcie do Akademii Leconte'a de l'Isle. — Mowa Dumasa i jego charakterystyka Wiktora Hugo.

W teatrze Vaudeville wystawiono tymi dniami *Renée*, dramat Zoli, przerobiony przez samego autora z powieści *La Curée*, znanej z nieskończonego jeszcze cyklu Rougon-Macquartów. Dotychczasowych przeróbek z powieści mistrza naturalizmu francuskiego dokonywał on sam przy pomocy p. Busnacha, który zrobił sobie z tego specyalność. Nie uważano ich też za utwory Zoli. Tym razem zainteresowanie było ogólne. Sam Zola, zapowiadany reformator w duchu naturalistycznym, miał wstąpić na teatralny koturn. Nie wydarzało się to wprawdzie po raz pierwszy, przed kilku bowiem już laty napisał dla sceny mały obrazek, którego tytuł wypadł mi z pamięci. Sztuka ta upadła i sam autor zresztą przyznawał następnie, że upadła zasłużenie. W *Renée* pokładał większe nadzieje — zawiódł się jednak raz jeszcze. Podniesiono przy tej sposobności samą sprawę „teatru naturalistycznego,“ zawiązała się polemika, toczona już dziś wreszcie z pewnym spokojem; gdy zaś sztuka została wystawiona, zawołano zewsząd: gdzie tu naturalizm? Rzecz okazała się słabą przeróbką z powieści, o wiele od niej niższą. *La Curée*, której bohaterka jest Renata Sacard, celuje wyborną analizą fizyologiczno-psychologiczną kobiety znudzonej wśród czczego życia i zbytku, lubieżnej, zdenerwowanej i przez to wszystko zrozumiałej i budzącej współczucie. Powieść odznacza się, jak wogóle dzieła Zoli, pyszną plastyką, oraz szerokim jakimś i barwnym pędzlem. Fizyologia ta i plastyka znikły na scenie, nie zastępując miejsca akcyi, której brak również daje się uczuć. Na scenie zmieniono niektóre wątki powieściowe, a zmieniono niekorzystnie. Upadek Renaty w stosunku jej z pasierbem Maksymem Secard w powieści lepiej jest usprawiedliwiony, przychodzi jakoś mimowoli, staje się niepoczytalnym prawie, gdy na scenie przybiera inny charakter. Tam Renata umiera na suchoty, zmęczona życiem i przygnębiona nikczemnością swego męża i swego kochanka, tu dla efektu — zabija się.

Nie zupełnie szczęśliwie wypadła i przeróbka *Ventre de Paris*, przedstawiona z pewnem powodzeniem w Théatre de Paris, w opracowaniu p. Busnach. Powieść ujmuje nas przedewszystkiem barwnością i plastyką. Wielkie Hale, ten „brzuch Paryża,“ żyją pod czarodziejskim pędzlem pisarza jakiemś potwornem życiem roślinnem, skaczą nam do oczu jaskrawością natury martwej, przeznaczonej na pożarcie. I ludzie w tych halach dyszą także grubemi namiętnościami i wchłaniają w siebie atmosferę otoczenia. Na scenie wszystko znikło. Fałszywą jest pogłoska, roznieciona przez wasze *Kuryery*, że dla powiększenia scenicznego złudzenia sprowadzono na deski teatralne całe sklepy rzeźnickie, całe stosy prawdziwych jarzyn itd. Jest to bajką. Miałem sposobność przekonać się naocznie, że wszystko to było tylko przez dekoratora wymalowane. Pozostało zwykłe *melo* — melodramat. Ku zbudowaniu przytem ludu paryzkiego, wprowadzono na scenę intrygę miłosną i tendencyę drobnomiejską, której niema w powieści. Występują tu ludzie z hal, agenci policyjni, spiskowiec, zda się, niepoprawny, którego jednak kochająca żona, dziecko i wytrwała kochanka nawracają na drogę porządku i życia wolnego od wszelkich nieprzyjemnych zatargów politycznych. Jest tylko jedna efektowna scena, wyciskająca łzy widzom teatralnym, kiedy matka występnej córki i babka kilkoletniego ładnego chłopczyny — dowiedziawszy się się o tem, że jest babką, wypędza w pierwszym popędzie ze swego domu córkę w raz z dzieckiem, następnie jednak przebłagana przez nie, tuli oboje do macierzyńskiego łona i zezwala na ślub z owym bohateremspiskowcem, którego poprzednio sama zadenuncyowała. Całości brak żywej akcyi i charakterów, zakreślonych wyraźnie.

Niepowodzenie na scenie dotychczasowych sztuk Zoli nie znaczy atoli bynajmniej, że wszelka „naturalistyczna“ reforma teatru jest zbyteczną. Sam on zaznaczył w rozmowie z pewnym reporterem, że co innego jest krytykować, dostrzegać braki i wady, co innego zaś stworzyć coś o wiele lepszego w kierunku swych pragnień i wymagań. Mistrz przytem zapowiedział już dawniej, że dopiero po skończeniu szeregu swych powieści, co ma nastąpić za lat kilka, poświęci się wyłącznie teatrowi. Dotychczas są to tylko próby. Gdyby zresztą Zoli zbrakło i później nawet scenicznego talentu, sprawy to bynajmniej nie przesądza. Nasuwa się atoli przy tej sposobności inna uwaga, ta mianowicie, że przeróbki powieści zawsze prawie źle wychodzą na scenie. I być inaczej nie może. Powieść ma właściwe sobie zadanie, właściwy swój charakter. Szczegółowa analiza psychologiczna, bogactwo języka, malownicza opisowość, są to zalety, które się przenieść na scenę nie dadzą, gdy zaś to odpadnie, nie wiele zazwyczaj pozostaje. Scena domaga się innego zupełnie rysunku, innego wzięcia się do rzeczy, posługuje się innymi środkami i właściwymi rozporządza efektami, które przemawiać powinny do nas w sposób odrębny. Upowszechnianie się przeróbek z powieści dowodzi tylko, że sztuka dramatyczna upada, że brak jej własnej treści i własnych talentów. Jest to zas tylko przemawiający za reformą dzisiejszego teatru.

Przenieśmy się na inną widownię. Scena przedstawia salę posiedzeń Akademii francuskiej. Czterdziestu (ni mniej ni więcej) „nieśmiertelnych“ w mundurowych frakach z zielonemi palmami. Tworzą oni starogrecki chór w przedstawieniu, które ma się odbyć niebawem. W amfiteatralnym kręgu „populus parisiensis,“ a raczej tylko jego doborowa śmietanka — panowie w czarnych frakach, panie w strojnych toaletach. Wielka uroczystość w zakonie. Na miejsce opróżnione po Wiktorze Hugo wybrano nowego poetę, który uroczyście zasiąść ma w jego krześle. Na akademicką estradę występują dwaj nieśmiertelni: debiutant Leconte de l'Isle, który wygłosić ma monolog, będący pochwałą głośnego poprzednika; odpowiada mu stary kolega-akademik Aleksander Dumas.

Leconte de l'Isle nosi już dawno wieniec laurowy. Urodził się na francuskiej wyspie Réunion, między Afryką i Azyą, dnia 28 października 1818 r. z ojca bretończyka i matki gaskonki. Jako poeta stoi odrębnie od innych. Przejął się głęboko poezyą starogrecką i mytycznemi legendami prastarych Indyj. Starał się też wskrzesić zamierzchłe te tradycye, przywracając poetyckiej muzie dawne jej oblicze. Z dzieł jego znane są trzy zbiory, zatytułowane: *Poèmes antiques*, *Poèmes barbares*, *Poèmes tragiques*, wśród których wyróżniają się obszerniejsze poematy *Caïn* i *Baghavat*. W czem nie zdołał naśladować poetów klasycznej Hellady, tłomacząc ich wprost, zbogaciwszy literaturę francuską wybornymi przekładami greckich tragików i pieśców. Napisał również sam tragedyę na wzór Eschylosa — *Erynije*. To są tytuły, które otworzyły mu podwoje Akademii.

Pochwała, wypowiedziana przez poetę na cześć Wiktora Hugo, niczem się nie odznaczała. Jest to szereg dytyrambów, wielbiących geniusza, któremu ani literatura starożytna, ani nowożytna nie miała równego. „Młody“ akademik zdawał się nawet zapominać o swych mistrzach klassycznych w potoku uwielbień; słabo też zaznaczył własne swe poetyckie stanowisko i nader pobieżnie scharakteryzował rozwój nowszej poezyi francuskiej. Wiktor Hugo i Wiktor Hugo! Po za tem słońcem nie widać gwiazd pierwszej, ani drugiej wielkości.

Odpowiedź natomiast Dumasa była w całem znaczeniu tego wyrazu mistrzowska. Zręczna, gładka, subtelna, pełna aluzyi i lekko tylko zasłoniętej ironii, pełna przytem głębszych uwag i treści. Autor *Francillony* obowiązany był naprzód podać cały bukiet cukrzonych i złoconych grzeczności swemu koledze; wolno mu było jednak w chwalbę tę owinąć sporą dozę uwag krytycznych, napoić go octem i żółcią, pod wawrzynową zaś koronę natknąć niemało cierni. Młodszemu towarzyszowi winno się zawsze naukę. Z prawa też tego, lubo w sposób nader delikatny, salonowy, Dumas szeroko skorzystał. Wytknął mu, że zawiódł jego oczekiwania co do przedstawienia rozwoju poezyi francuskiej, zarówno we względzie jej treści, jak i form technicznych, które dziś budzą tylko zajęcie na młodym Parnasie francuskim. Wychwalając dalej formę świetną Leconte'a de l'Isle'a i czytając wiele z jego wierszy, przypomniał mu, że w pierwszym okresie swego rozkwitu wystąpił on z manifestem, który zapowiadał nowy zwrot, nową szkołę. W przedmowie do pierwszego wydania *Poèmes antiques* pisał Leconte de l'Isle: „Po Homerze, Eschylosie i Sofoklesie, którzy przedstawiają poezyę w swej żywotności, w jej pełni i harmonijnej jednolitości umysł ludzki pogrążył się w upadku i barbarzyństwie. W rzeczach sztuki świat rzymski stoi na równi z Dakami i Sarmatami; cykl chrześciański jest całkiem barbarzyńskim. Dante, Shakespeare i Milton mają tylko wysokość i siły indywidualnego swego talentu; ich język i pojęcia są barbarzyńskiemi. Rzeźba zatrzymała się na Fidyaszu i Lizyppie; Michał Anioł nie nie zapłodnił; dzieło jego, godne podziwu samo w sobie, otworzyło drogę nader zgubną... Poezya nowoczesna jest mętnem odbiciem awanturniczego Byrona, czułostkowej religijności Chateaubrianda, mistycznemi marzeniami... Przeważa w niej zużyty temat osobowy itd. itd.“ Była to — mówił Dumas — zapowiedź rewolucyi radykalniejszej od romantyzmu. Poeta, potępiając cały świat średniowieczny i nowożytny, chciał zwrócić poezyę do legend i tragedyj starogreckich, do poglądów staroindyjskich; przywrócić jej to znaczenie, jakie miała za czasów mitycznego

Homera. Reforma ta nie znalazła gruntu i sam poeta stracił wiarę w jej przeprowadzenie — zamilkł więc z reformatorskiemi nawoływaniami, lubo przy swych upodobaniach do końca pozostał. Gdy zresztą zanosiło się na jakąś szkołę odrębną, ambitny Hugo (objaśnia Dumas), który żadnych równorzędnych bogów obok siebie nie znosił, umiał zręcznie podejść ku osamotnionemu piewcy i zaprządz go do swego tryumfalnego rydwanu. W służbie tej też Leconte de l'Isle wytrwał aż do objęcia akademickiego krzesła po mistrzu.

Nim wspomnimy pokrótce o nader ciekawej charakterystyce Wiktora Hugo, nakreślonej przez mistrza dramatu francuskiego, powiemy jeszcze słów parę o trafnej jego krytyce poetyckiego stanowiska Leconte'a de l'Isle.

Jest to niepodobieństwem, ażeby poezya, która, według własnego przyznania debiutanta na akademickiej arenie, odbija fazy rozwoju społecznego, wypadki polityczne, oraz idee religijne, wyrażając ich głąb ukrytą i szczytowe pragnienia — ażeby ta poezya, która ma być „historyą świętą myśli ludzkiej,“ zapomniała o wszystkiem, co jest jej podścieliskiem, warunkiem bytu, powietrzem i zwróciła się nagle do zapomnianych początków indyjsko-grecko-klasycznych.

Kiedy świat starożytny wyczerpał się już i zmienił, ludzkość poczęła w sobie nową duszę na wieść o pewnych rapsodach, idących z Judei, które ogłoszono za święte z takim zapałem i zaparciem się, że się nie ulękniono krzyżów, ani mąk najsroższych. Legendy starożytne ustąpiły wtedy miejsca innej legendzie: „Ludzkość od czci piękna przeszła do religii dobra“ — dusza zaś ma swe potrzeby, podobnie jak ciało i umysł. Sztuka oddała się na usługi objawienia, które ogłoszono boskiem. Bóg ten miał swych Fidyaszów i Apellesów w Michale Aniele, Rafaelu... Narodziła się też i muzyka dla uczczenia stwórcy. Poezya zrzekła się niezawisłej swej władzy nad umysłami i wspólnie zanuciła pieśń o dobrej nowinie. Pod tem pierwotnem natchnieniem pisali: Daudet, Klopstock, Corneille, Milton, Chateaubriand, Lamartine, Musset, nawet Goethe. Po tej drodze poezya doszła do rozpatrywania duszy ludzkiej, jej najskrytszych i utajonych pragnień; podawała spragnionym do ust czarę rozkoszy, miłości i ukojenia. Nawet wtedy, gdy się wyzwoliła z niewolniczej służby legendzie, nie przestała być chrześciańską w charakterze i początkach. Wy zaś chcieliście, powiedział mówca, zwracając się do poety, stłumić w sobie uczucia osobiste, zwyciężyć namiętności, zniszczyć wrażliwość, zgasić wszelkie ciepło wewnętrzne. Pragnęliście być nieosobiści, obojętni, odbijający jak zwierciadło świat zewnętrzny w jego staroklasycznej treści. Jest to niewolnicza służba legendzie niższej, bo mniej ludzkiej. Ostatniem zaś słowem waszego wyznania jest staro-indyjska Nirwana...

Dumas poświęcił większą część swej mowy, obejmującej osiem wielkich łamów dziennikarskich, mowy, która trwała dwie godziny, charakterystyce Wiktora Hugo. Owijając wszystko w aksamitne zwoje akademickich chwalb i komplimentów, powiedział mimo to wiele surowych prawd. Treść tych poglądów wydobyta z owej złoconej łupiny da się sprowadzić do tego, że główną cechą Wiktora Hugo była niezmierzona ambicya, której wszystko poświęcał i żądza sławy, do której dążył niezmiernie wytrwale. To, co postanowił sobie osiągnąć, mając lat piętnaście, ziściło się. Zapatrzony w własną swą wielkość, na wszystko i wszystkich z góry spoglądał; jeżeli zaś kogo wywyższał, to dlatego, żeby następnie siebie nadeń wysunąć. Niczemu i nikomu całkowicie się nie oddawał; nie pozwolił sobie żadnego głębszego wzruszenia, żadnego prawdziwego krzyku. Na świat i ludzi spoglądał z jowiszowych wyżyn — był retorem, który poezyę francuską wzbogacił świetnymi rymami. Kochał tylko sławę — własną. Jeżeli przywiązał się do wolności i rzeczypospolitej, to dlatego, że tylko w demokratycznem społeczeństwie, które nie zna żadnych stałych wyniosłości, nikt nie mógł wielkości jego zasłaniać. Umarł też ubóstwiany za życia, a po śmierci z czcią zaniesiony pod arkady Łuku tryumfalnego, z którego wygnał napoleonidów, i do Panteonu, z którego przed nim uprzątnięto świętych i Boga. Potomność, kończy mówca, nazwie zapewne Wiktora Hugo poetą *Legendy wieków* nie dlatego, żeby to jego dzieło zasługiwało na wywyższenie ponad inne, lecz dlatego, że jego bohaterowie nie są ludźmi, lecz postaciami legendowemi...

Podaliśmy najogólniejszy jedynie szkielet tej charakterystyki, ilustrowanej bogato i dowodnie, wypowiedzianej zaś z wielką zręcznością, okresami pełnymi i harmonijnymi, przetykanymi ironią i wykazującymi obok pochwał odwrotną stronę medalu. Z tego stanowiska nie śmiano jeszcze we Francyi rozpatrywać Wiktora Hugo. Zola atakował poetę, atakował w nim jednak tylko romantyzm.

E. Przew.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Sposób ważenia sensu. — Wywód ks. Chodkowskiego. — Odezwa do stanów kierowniczych. — Dwubarwny promień. — Swoja chustka jako cudza chorągiew. — Godni zazdrości. — Projekt opodatkowania jaj. — Spodziewane dochody.

Dla większości już nietylko czytających, ale nawet piszących, ksiądz, zwłaszcza wyższej rangi, należy u nas do tych szczęśliwych istot, które zawsze wypowiadają głębokie prawdy. Gdy dziesięciomiesięczny władca chiński zawoła: „papu,“ mandaryni zachwycają się jego mądrością, a my wybuchamy śmiechem. Czemu? Zapewne, ks. Chotkowski, który kazał nad trumną Kraszewskiego, nie ma 10 miesięcy i jest człowiekiem ukształconym, ale to w zasadzie nie zmienia roli jego mandarynów. Wiecie, jaki jest najlepszy sposób ocenienia długiej rozprawy? Trzeba ją możliwie — skrócić. W obszernej bowiem gadaninie nikną i toną braki, słuchacz lub czytelnik, zanim dotrze do końca, zapomina, co było na początku. Otóż mowa ks. Chotkowskiego w skróceniu przedstawia takie rozumowanie: ponieważ umarł człowiek znakomity i zasłużony, więc „tego się mamy uczyć, ażeby jeden stan nie żył kosztem drugiego,“ że winniśmy trzymać się oburącz wiary, oraz, że Anteusz wtedy uległ w walce Herkulesowi, kiedy stracił pod nogami ziemię. Gdybym tę radę chciał jakimkolwiek sposobem związać z Kraszewskim, musiałbym użyć do tego przypowieści o gruszce, pietruszce i cebuli; nie podejmuję tej bezowocnej pracy i zastanowię się w oderwaniu nad jedną przestrogą kaznodzieci, z której wysnuto poważne i dla kaznodziei dziękczynne artykuły. Jedno z pism warszawskich, rozprowadziwszy wodą myśl mistrza, kończy swój wywód następującym wnioskiem: „Nie pozostaje nam też nic, jak wyrazić pragnienie, ażeby stany owe (kierownicze), położenie swoje na rzecz społecznego i towarzyskiego kwietyzmu wyzyskujące, wczas się *opamiętały*, pomne, że im i dzieciom ich przyjdzie zdać rachunek nietylko z tego, co zrobiły, ale i z tego, czego dokonać zaniedbały.“ Autor tych słów niewątpliwie przypuszczał, że po przeczytaniu ich (w przeciwnym razie na cóż by je pisał), owe stany bodaj w części „opamiętają się,“ to jest przestaną „żyć kosztem drugich.“ Furya zazdrości zwykle mnie unika, ale wyznaję, że bardzo zazdroszczę wielu ludziom naiwnej wiary w prawdziwość poświęcanego frazesu i w prostotę rozwiązania zawiłych zagadnień ludzkich. Tym ludziom zdaje się, że gdy jeden z nich stanie na kazalnicy, a drugi w łamach gazety, i rzekną do arystokracyi, szlachty, mieszczaństwa bogatego: „panowie, przestańcie żyć kosztem innych,“ owa rzesza natychmiast, albo wkrótce strzepnie pył egoizmu ze swych stóp, zrzuci strój egoistycznej wygody, wdzieje włosiennice i pójdzie nawrócona za apostołem. Podobnego aktu skruchy nie oczekuję. Ażeby zaś mogło stać się to, czego żąda ks. Chotkowski (bezwiednie) i jego współwyznawcy, trzeba drobnej rzeczy: zupełnego przewrotu stosunków społecznych i takiego ich układu, któryby uniemożliwiał jednym życie na koszt drugich. Gwałtu! my tego nie chcemy — krzyczą obrońcy tradycyi. Albożja temu winien, że człowiek wynalazł logikę i każe ją stosować nawet do bajań! Po co panowie głosicie takie straszne hasła pod filarami kapitalizmu i piętnujecie „stany kierownicze“ tego rodzaju wyrzutami: „Żyją przez to kosztem innych, że *cała suma* zadowolenia, jaka się wyciągnąć daje z istniejących stosunków, obraca się całkowicie i wyłącznie na ich korzyść. Żyją kosztem innych stanów i kosztem przyszłości narodu, bo pod ich sterem i za ich panowania nie dokonywa się w łonie społeczeństwa wiele z takich rzeczy, które same tę przyszłość ubezpieczają; choć im jest dziś dobrze, jutro może być źle narodowi.“ Słyszę zastrzeżenie: uwagi te stosują się do Galicyi! Znam tę metodę: Galicya w nas ciska gorącym popiołem, a my w Galicyę. Tym sposobem tworzy się promień krytyki społecznej, którego część bliższa środka obserwacyi zabarwiona różowo, a dotykająca do obwodu — czarno.

Na innem miejscu zapisaliśmy pogłoskę o znacznem podwyższeniu opłaty za paszporty zagraniczne. Niektóre gazety rosyjskie nie wierzą tej wieści i wykazują, że środek ten, wymierzony przeciwko ludziom bogatym, mieszkającym na obczyźnie, nie osiągnąłby swego celu, nie przyniósłby korzyści skarbowi państwa, a zaszkodziłby ruchowi ekonomicznemu, odgrodziłby Rosyę od Europy murem. Nie zabierając głosu w tej sprawie, dołączę tylko do jej aktów świeży dowód pomysłowości finansowej. Mianowicie jakieś grono (według *Wieku*) radzi opodatkować... jajka. Doprawdy. Według rachuby tego projektu Rosya posiada (co za bystry statystyk) około 100,000 milionów (!) kwok, z których każda może znieść po 20 jaj. Opodatkowawszy każde jajko $^1/_4$ kopiejki, otrzyma skarb 5,000,000 rs. dochodu. Ponieważ zaś „nie ma żadnego powodu stwarzać przywileju dla kaczek,“ i ich przeto „wytwory“ winny podledz opłacie. Chociaż zaś jajka kacze nieco więcej ważą niż kurze, „dla uproszczenia rachunków i kontroli“ ma być zastosowana ta sama stopa opodatkowania. Z tego źródła autor projektu spodziewa się osiągnąć 3,000,000 rs. Ażeby zaś wpłynąć na rozwój i poprawę hodowli drobiu, opłata nakładana będzie tylko na 20 pierwszych jaj każdej kury lub kaczki. Co do indyczek zdania są podzielone: jedni doradzają $\frac{1}{2}$ a drudzy $^3/_4$ kopiejki od jajka. Jeżeli ostatni zwyciężą, skarb zyskałby 10,000,000 rs. Ustawa ta byłaby wprowadzoną w kwietniu roku przyszłego, „jeżeli — jak czytamy w *Wieku* — do tego czasu uda się ukończyć spis drobiu i opracować zebrane materyały.“

Kto narzeka na ciężkie czasy, ten chyba unikał krynic mimowolnego humoru, które z nich tryskają. Czy w królestwie biedy biją takie orzeźwiające zdroje? *Galgenhumor?* powiadacie. Albo to prawda! Zresztą, kto wie! Nie mam kury, więc nie mogę wypróbować mojego humoru.

. . . .

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Żydzi. — Słaby ustrój fizyczny. — Przyczyny śmiertelności. — Gubernia kowieńska i miasto Szawle.— Majdan żydowski. — Jak sobie radzą ziemianie w Janowskiem? — Miłosierdzie możnych. — Ludzie towarem.

Znany jest wstręt żydów do wszystkiego, co ma styczność z hygieną. Skutki tego są widoczne na ich twarzach bladych, oczach zaczerwienionych, ropiących się, piersiach wązkich, zapadłych. Jeszcze bardziej to uderza wobec jednostek opasłych, rumianych, które zdołały wyłamać się z pod jarzma nałogów wiekowych. Rzekłbyś, iż lichy ustrój organizmu chodzi w parze z niedostatkiem materyalnym. Tak nie jest. Znałem izraelitów chałatowych, majętnych, którzy nosili na sobie cechy ogólne dlatego tylko, iż niczem nie ustępowali w sposobach życia swoim uboższym współbraciom. Anemia, cierpienia nerwowe i wszelkie epidemie znajdują gotowy grunt dla siebie pośród tych ludzi, pozbawionych ruchu, pożywnej strawy i czystego powietrza. Niezawsze jednak pod względem sanitarnym stoją oni niżej od chrześcian. P. Abramowicz, opisując w *Zdrowiu* gubernię kowieńską, utrzymuje, iż żydzi górują tam nad włościanami litewskimi w wychowywaniu dzieci, dzięki starannemu pielęgnowaniu i karmieniu bardzo długiemu „wyłącznie piersią matki" (tutaj dłuższy czas chyba tylko coś znaczy, bo wszakże kobiety włościańskie nie wyręczają się mamkami). Z tej przyczyny śmiertelność niemowląt żydowskich jest mniejszą. Świadczy o tem statystyka i z innych miejscowości. Według badań d-ra Gorelejczenki, w mieście Jekaterynosławiu śmiertelność dzieci chrześciańskich o 10% przewyższa żydowskich. Fakty te dodatnie tem bardziej świadczą o życiu niehygienicznem izraelitów w wieku młodzieńczym i dojrzałym, skoro dobry zadatek sił w niemowlęctwie nie wystarcza na dłużej. Weźmy jeden przykład z gub. kowieńskiej. Przy poborze do wojska zbrakowano z powodu słabego ustroju fizycznego:

W roku	1881	chrześcian	5,3%	żydów	10 6%
„	1882	„	6,1%	„	13,7%
„	1883	„	6,2%	„	9,3%
„	1884	„	7,4%	„	10,4%

Cyfry te jasno przekonywają, o ile ludność włościańska lepiej jest rozwiniętą od żydowskiej. W tejże gubernii liczba urodzeń i śmierci po wsiach i miasteczkach znacznie jest większą, niż po miastach. Trzymając się ogólnych zasad statystyki, trzeba przypuścić, iż w wielkich rojowiskach ludzkich przeważa liczba osób w takim wieku, w jakim procent śmiertelności bywa mniejszy, niż wśród dzieci do lat pięciu. Niepoślednią tu rolę gra i stan materyalny mieszkańców, zmuszonych wyznawać celibat (biuraliści, uczniowie, sługi, robotnicy itd.). Po wsiach przeciwnie; śmierć zabiera znaczny procent noworodków, oszczędzając ludzi dorosłych, pracą fizyczną rozwiniętych. Po małych miasteczkach ta najbardziej się sroży. Przyczyny łatwo dojrzeć, gdy przytoczymy kilka rysów zdrowotności powiatowego miasta Szawel. Z ogólnej liczby mieszkańców $^{10}/_{17}$ stanowią żydzi. Biedniejsi, o licznych zazwyczaj rodzinach, zajmują najgorszą dzielnicę, zadawalając się szczupłem schronieniem, często jedną izbą. Doły kloaczne, niewycembrowane, tuż przy mieszkaniach, a przez ścianę chlewy, na środkach podwórza śmietniki, gdzie zwierzęta domowe i ludzie przyczyniają się do nieczystości. Dodajmy brak powietrza w izbach, rodzaj pracy, niewymagający ruchu i lichą strawę, a będziemy mieli najważniejsze źródła śmiertelności. Wiele domów chrześciańskich w tem mieście wcale się nie odróżnia lepszymi warunkami.

W państwach cywilizowanych śmiertelność stanowi 26 na 1,000; według wyliczenia hygienistów powinno być 1,5%. Chadwik, mniej względny, podaje za możliwy procent 5 na 1,000. Gdyby z takiego punktu moralności wychodzić przy statystycznych obliczeniach naszych prowincyi — przerazilibýsmy się...

Przejdźmy do jaśniejszych obrazów. Na Podolu istnieje kolonia — Majdan żydowski. Przed dwudziestu kilku laty starozakonni nabyli tam 605 dziesięcin czarnoziemu, łąk i lasów za 15,000 rubli. Bezsilni i nieobeznani z rolą, długo się borykali, zanim przywykli do nowych warunków. Większość założycieli osady spoczęła już w grobach, młode zaś pokolenie przy ciągłej pracy fizycznej na świeżem powietrzu i zdrowych pokarmach, rozwinęło mięśnie, nabrało zapasu życiowego dla siebie i swoich potomków. Kolonia składa się z czterdziestu trzech rodzin; na każdą przypada ziemi ornej 9 dziesięcin, lasu 3 i łąk 2. Z powodu suchych lat i ciągłych nieurodzajów położenie tych rolników w ostatnich czasach znowu się pogorszyło. Pomimo to nie słabną w energii i wróżą sobie większą pomyślność. Nie zalegają też gleby umysłowej. Założyli bibliotekę, abonują pisma, czytając wszystko z wielką żarliwością. Pośród tych postępowców są także zatwardziali konserwatyści, ludzie starzy, którzy tak się oburzyli zrazu żądzą światła swoich synów, iż chcieli książki popalić. Opór młodzieży stanął na przeszkodzie haniebnemu zamachowi. Kronika *Woschoda* utyskuje, iż tylko chedery nie podlegają prawom postępu; według odwiecznych zwyczajów męczą się tam dzieci wbrew wymaganiom pedagogiki i hygieny; ta tylko pociecha, że doszedłszy do roku dwunastego lub trzynastego idą do kosy i topora siły swe naprawiać. Słyszałem nieraz zarzuty czynione żydom, iż nie umieją pracować pługiem. Powyższy przykład przeczy temu, nadto, może być wskazówką dla niejednego, co od pradziada wzrasta na roli.

Nie drzemią też i ziemianie w Janowskiem; wiążą się w stowarzyszenia, dzięki czemu wytrzymują ataki przesileń ekonomicznych. Słabsi tylko, zostawszy po za szeregiem, giną. Odwaga tych bojowników tem więcej zasługuje na uznanie, iż okolica janowska znacznie jest oddalona od kolei żelaznej, nie posiada dobrych gościńców, a najgorzej — odznacza się glebą nieurodzajną. Przy pracy wszakże wytrwałej, związanej węzłami praktycznemi, swobodnie oddycha się, nie czując na sobie brzemienia subhasty, a na zamożniejszych, otoczonych szczęśliwszymi warunkami, nie patrzą z zawiścią. Dbając o całość swego mienia, założyli Towarzystwo wzajemnego ubezpieczenia od pożarów, które ma już dziś znaczne ulgi, gdyż na mocy umowy z Towarzystwem *Jakor* opłaca premię o 25% niższą od zwykle praktykowanej taryfy. W celu łatwego i taniego kredytu zawiązano współkę firmową z kapitałem 30,000 rs. udzielonym przez Towarzystwo wzajemnego kredytu w Warszawie. Kto tylko posiada cnotę wypłacalności, może korzystać z tej instytucyi na bardzo dogodnych warunkach. Jałowe grunty i moczary nie poszły na marne; zamieniono je na jeziora, gdzie się odbywa hodowla ryb z powodzeniem i przynosi znaczne zyski rolnikom. Dodać trzeba, iż w tych właśnie stronach porodziła się myśl Towarzystwa rybackiego, które dziś w rozmaitych miejscowościach kraju posiada lub dzierżawi stawy. Zaprojektowano połączenie drobniejszych funduszów w celu zakupywania ziemi. Dzisiaj stowarzyszeni, mając już znaczny kapitał obrotowy, nabyli kilka posiadłości ziemskich i prowadzą tam gospodarkę według najnowszych wymagań! Sprowadzili wspólnym kosztem uzdolnionego leśnika, który wszystko zrobił, co się dało zastosować w praktyce: rozmierzył poręby, pozakładał szkółki, zasiał gatunki drzew, nieznane w tej okolicy. Nie koniec na tem. Obywatele, poczuwszy w sobie pragnienia duchowe, zawiązali spółkę oświecania się wzajemnego. Książki nabyte, po przeczytaniu idą na rozlosowanie, z czego tworzą się biblioteczki własne u każdego rolnika.

Pogodny obrazek! Możeby mniej było chmur na naszym widnokręgu i gradu narzekań, gdyby promienie z Janowskiego przeniknęły do innych okolic. Umiejętne krzątanie się pod strzechą własną, jest dziś cnotą bardzo cenną, a jeszcze więcej... procentującą. Gdy nadto błyśnie objaw wyższego poczucia obywatelskiego, powinniśmy zawołać: „Bóg zapłać za dobrodziejstwo!" i nie podpatrywać, jakie palce grają na harfie miłosierdzia możnych... W ostatnich czasach hrabiowie szczodrobliwością zajaśnieli. Na Ukrainie, wskutek nieurodzajów przeszłorocznych, nędza pośród ludności włościańskiej szczytu dosięgła. Siermiężni na własnych braci napadają, aby im chleb wydrzeć. W pobliżu wsi K. zgłodniała gromada otoczyła wóz człowieka, wiozącego mąkę z młyna. „Zostawcie mi choć trochę! w domu dzieci płaczą z głodu" — wołał napadnięty. „I nasze dzieci płaczą i mrą!" — odparli napastnicy. Dojrzał hr. Branicki łzy głodnej rzeszy, a chcąc je otrzeć, kazał we wszystkich swoich majątkach wydawać bezpłatnie zboże z magazynów zapasowych włościanom bezrolnym, a więc niemającym prawa korzystania z gromadzkich składów. Pańska dłoń sypnęła obfitą garścią jałmużnę. W jednej np. wiosce Sciszcze otwarto magazyny dworskie dla 107 rodzin włościańskich. Nadto, w czasie zimy biedni wieśniacy otrzymywali drzewo, a jeśli nie mieli grosza na dostawę z lasu do domów, hrabia z własnej kieszeni płacił za podwody.

Drugi możny naszej ziemi hr. Krasiński, łaskawą ręką pogłaskał po zoranych troskami czołach kmiecych. Jak wiadomo, otworzył na Kurpiach zakład wyrobu guzików z masy perłowej. Obecnie odbywać się tam mają egzaminy praktyczne włościan zapisanych na listę robotników. Ci, którzy odpowiedzą wymaganiom i wykażą zdolności, otrzymają od zarządu do własnego użytku tokarnię i materyał surowy do obrabiania. W jesieni wybrana będzie nowa partya chłopów do nauki.

Dotychczas tylko olbrzymom ducha i mamony przypisywano właściwość stawiania życia dziesiątków ludzi na kartę. Usprawiedliwiano to „wyższemi ideami," albo odwiecznem prawem stosunków ekonomiczno-społecznych. Dziś i karły coraz częściej używają tych sposobów. W osadzie Krzeszów, pow. biłgorajskim, dzierżawca przeprawy na rzece Sanie przewoził z Galicyi na brzeg tutejszy łódką dwudziestu trzech robotników, poddanych austryackich. Wątła łupina, przeładowana ciężarem, zatonęła. Trzynastu ludzi poszło na dno, nie znalazłszy ratunku. Cała ta partya dążyła do Królestwa dla zarobku; zamiast niego śmierć znalazła. Dzierżawca zdołał się ocalić, bo umiał pływać, zapewnie i z toni zarzutów *sprawiedliwości* również gracko wybrnie, aby i nadal piastować ster przewozu. Nie pierwszy to przykład takiego lekceważenia ludzi. Bywałem i sam na łasce tych panów. Potęga ich na Litwie, gdzie trudniejsza komunikacya, bardziej niż w Królestwie daje się uczuwać. Nieraz czekają póty, aż się prom tak przeładuje konnymi i pieszymi, że pokład równa się z powierzchnią wody; wtedy odbijają od brzegu. Jeśli wiatru silnego niema i podróżni, a szczególnie konie, zachowują się spokojnie, to dobrze; w przeciwnym razie czeka ich kąpiel niechybna. Jest to tak rzecz zwykła, iż rzadko kto nawet szemra, bo i cóż pocznie podróżny, gdy go za hardość na brzegu zostawią?

Drogomir.

Płock. Było to jeszcze w karnawale, który odbywał się u nas według wszelkich prawideł i bawiliśmy się, na bale zbieraliśmy się o północy; trzymaliśmy się swoich koteryj; współzawodniczyliśmy strojami i zbytkiem; zdobywaliśmy środki na to wszelkimi sposobami itd.

Niestety! zdarzył się wyjątek...

Pewna osoba na jeden z najświetniejszych balów, na który szanujące się i szacunku godne niewiasty posprowadzały świeże stroje z Warszawy, przybyła w zwyczajnej jedwabnej sukni!... W obec tego smutnego zdarzenia, prawdziwie pocieszającą była jednomyślność, w jaką „towarzystwo" potępiło zuchwałą. Inne „damy" nazwały ją „kopciuszkiem" i spoglądały na nią przez gołe ramiona. Postąpienie takie było tembardziej uzasadnione, że owa naruszycielka przepisów dobrego tonu, mogła ubrać się inaczej; wiedziano bowiem, że na kilka dni przed owym balem, dała na pogrzeb pewnego urzędnika i wsparcie jego rodziny taką sumę, za którą śmiało sprawiłaby sobie bardzo przyzwoity strój balowy. Mówiąc prawdę, osoba ta nie odznaczała się nigdy delikatnym gustem; oto np. mieszkając jeszcze na wsi u rodziców, doglądała chorych chłopów i uczyła ich dzieci... Ale przebaczmy jej grzechy... już umarła... Powołał ją Bóg do siebie, uważając, że nie dla niej było nasze „lepsze towarzystwo".

Nietylko wszakże umiemy potępiać, potrafimy uczcić to, co na prawdziwy zasługuje szacunek.

Pewnego razu pewną część miejscowej ludności napadła niepohamowana żądza... uczczenia kogoś za jakąbądź cenę. Dając folgę ochocie, urządzono gwałtowną owacyę z podarunkami i wieńcami... miernej śpiewaczce operetkowej. Zrobił się sądny dzień... albowiem druga część mieszkańców naszego grodu, do której należy, według własnego przekonania, sam kwiat inteligencyi, była zgorszoną i piorunowano ustnie, posłano szykany do pism humorystycznych. Opinja i sumienie publiczne było zaniepokojone. Położenie stało się groźnem. A wtem sprawa wzięła wesoły obrót. Oto ni mniej, ni więcej, tylko owi piorunujący wyprawili sami jeszcze gwałtowniejszą owacyę, aż dwom naraz scenicznym wielkościom... po czem umysły wróciły do równowagi; a przy tej okoliczności stwierdzoną została stanowczo konsekwencya nasza w postępowaniu.

ZE WSCHODU.

Działalność inspekcyi fabrycznej. — Robotnicy małoletni. — Metryki. — Nauka. — Oświata ludu jako czynnik demoralizujący. — „Geschichte der russischen Litteratur von ihren Anfängen" Aleksandra Reinholdta. — Szczedryn. — Dobrolubow.

W *Wiestniku Jewropy* znajdujemy ciekawe sprawozdanie z działalności inspektorów fabrycznych. Nie jest to praca wyczerpująca bogaty materyał, nagromadzony w ciągu roku. Są wszakże dane, odsłaniające wiele ciemnych stron bytu robotników małoletnich. Praca była ogromną ze względu na szerokie przestrzenie państwa; tak np. w skład jednego oddziału w okręgu woronezkim wchodzą gubernie: woronezka, penzeńska, samarska, saratowska i astrachańska. Wypada czasem 10,000 wiorst na inspektora, a trzeba je przejeżdżać końmi. Nadto, okazuje się wielka nieproporcyonalność liczby inspektorów do fabryk (w skład komisyi wchodzi 18 członków). W okręgu charkowskim z 2,552 zakładów obejrzano tylko 658, we włodzimierskim z 4,065 — 292, w kazańskim z 3,200 — 405, w woronezkim z 12,807 — 841. Przeciętna liczba odwiedzin (jednorazowych i powtórnych) na jednego agenta wypada około 450. Jeśli na każdą fabrykę liczyć tylko po półtory wizyty rocznie, to np. dla okręgu woronezkiego potrzeba 48 ludzi. Tymczasem nawet dwukrotna rewizya, jeśli wypada w odstępie rocznym, chybia celu. Fabrykanci nadal będą omijać prawo i wyzyskiwać małoletnich, każąc im pracować od 12 do 14 godzin na dobę. Tłomaczą się nieznajomością prawa, lub tem, że nie otrzymali cyrkularza, chociaż w takich razach bywają demaskowani własnoręcznem pokwitowaniem z odbioru. Inspektorowie nietylko rewidują, lecz bardzo często odnajdują nowe fabryki, o których nie wiedziano. W Orenburgu znaleziono 12 zakładów nieoznaczonych w miejscowym spisie statystycznym. O istnieniu farbierni w gub. moskiewskiej (pow. dmitrowskim) inspektor dowiedział się przypadkiem w rozmowie z woźnicą. *Wiest. Jewr.* radzi, aby w rewizyi pomoc zapewniły instytucye ziemskie i miejskie, tudzież osoby prywatne, zwłaszcza ziemianie. Wątpię tylko, czy ci pomocnicy mieliby wstęp do wnętrza fabryk, skoro sami inspektorowie znajdowali nieraz brutalne przyjęcie, a nawet drzwi zamknięte. Skuteczniej może byłoby ująć taką pomoc w pewne korporacye, jak np. istnieją we Francyi komisye w miejscowościach fabrycznych, które wielką ulgę przynoszą delegacyom rządowym.

Po ogłoszeniu, a następnie wprowadzeniu w życie nowej ustawy, rozpoczęło się zbiorowe wydalanie małoletnich dla wyłamania się z pod kontroli władzy. Jaki procent w ten sposób uwolniono, trudno ściśle oznaczyć. W okręgu wileńskim liczba usuniętych nie przenosi 15%. Podczas rewizyi znaleziono przy pracy 2,523, według późniejszych sprawozdań było ich tam 2,132 (około 13½%). W okr. woronezkim i petersburskim ubytek małoletnich przedstawia niespełna $^1/_2$ (30—35%); w pierwszym wydalono blizko 1,500; zostało w czasie rewizyi 3,151 — około 11% ogólnej liczby robotników. W drugim usunięto 1,054, zostało 2,214 (około $3\,^1/_3$%). Największy ubytek w okręgach: charkowskim, włodzimierskim i moskiewskim — od 60 do 70%. W pierwszym było z początku 3,325 ($10\,^3/_4$%), następnie wydalono prawie 2,000. W gub. włodzimierskiej małoletni w r. 1883 stanowili $10\,^1/_3$% ogólnej liczby. Przy pierwszej rewizyi 1885 r. liczba ta zniżyła się do $5\,^1/_6$%, następnie 4%. W okr. włodzimierskim podczas pierwszej wizyty było 6,049 ($6\,^1/_7$% ogólnej liczby); przy następnych liczba ta okazała się przeszło trzy razy mniejszą. W gub. moskiewskiej stosunek procentowy małoletnich do ogólnej liczby robotników zmniejszył się prawie potrójnie (zamiast $9\,^1/_2$— $3\,^1/_5$%). Nie wszędzie jednakowo objawiły się skutki zastosowania prawa fabrycznego. W okr. wileńskim, petersburskim i charkowskim wydalanie rozpoczęło się po pierwszej rewizyi 1885 r., w woronezkim, włodzimierskim i moskiewskim 1881 r., tj. wślad po ogłoszeniu prawa. Szczególnie wystąpiło to w gub. moskiewskiej i włodzimierskiej, gdyż tam fabrykanci mieli sposobność zetknięcia się z wymaganiami i energią inspekcyi jeszcze 1883 r., tj. na dwa lata przed zastosowaniem nowych przepisów w innych miejscowościach.

Jakkolwiek takie zmniejszenie się małoletnich robotników pociąga za sobą pogorszenie ich bytu materyalnego, wszakże ze względu na siły i zdrowie odpowiada dążnościom humanitarnym. Według sprawozdań inspektorów, zdarzało się im nieraz słyszeć wyrażany przez dorosłych robotników żal, iż prawo to nie istniało podczas ich małoletności; uniknęliby — jak mówią — chorób i wyczerpania fizycznego. Jak dalece bywają wyzyskiwani ci wątli pracownicy, najlepiej świadczy przykład dojrzany przez inspektora w okręgu woronezkim: malec w fabryce zapałek musiał ułożyć *sześćdziesiąt tysięcy* sztuk do *czterystu* pudełek, a to do skrzynki i za to otrzymywał *dziesięć kopiejek*, będąc narażonym na otrucie fosforem. Ustawa fabryczna była przyjęta z ogromnem niezadowoleniem przez większość kapitalistów, którzy też usunęli dzieci. Wkrótce przekonano się, że pracą ich nie można pogardzać i znowu do wielu zakładów zaczęli je przyjmować. Ścisłe wypełnienie nowych przepisów możebne tylko wtedy, gdy wiek dzieci daje się sprawdzić. Pod tym względem zachodzą trudności ogromne. Przemysłowcy rozmyślnie dodają im po kilka lat, wydobycie zaś świadectwa urodzenia przedstawia nieprzebyte przeszkody dla ubogich robotników, gdyż duchowieństwo stawia wygórowane żądania: po trzy, cztery, pięć, a nawet ośm rubli za metrykę. Czasem, niby dla ułatwienia, wydawano wspólną dla 10—15 dzieci, co je zmuszało do trzymania się w jednym zakładzie; przejście jednego lub dwóch do innej fabryki pociągało nowe koszty. W okręgu charkowskim za świadectwa żądano po 10 rubli. Tylko w warszawskim, według sprawozdania inspektora, metryki były udzielane bez żadnych przeszkód.

Bardzo ciężko idzie zastosowanie przepisów w nauce szkolnej robotników małoletnich. Procent piśmiennych jest wogóle niewielki, nawet tam, gdzie są szkoły przy fabrykach, gdyż przeważnie uczą się w nich nie pracownicy mali, tylko dzieci robotników dorosłych. W okr. kijowskim i charkowskim nauka, według sprawozdań, prawie nie istnieje. W moskiewskim zamknięto kilka szkół. Stosunkowo najlepiej dzieje się w warszawskim i włodzimierskim. W innych sprawa szkolna ku dobremu się kłoni, dowodem powstawanie szkół dla małoletnich w tak zapadłych miejscowościach, jak pow. krasnoufimski w gub. permskiej (okr. kazański). Usiłowania w tym kierunku byłyby skuteczniejsze, gdyby fabrykanci cenili pracę dzieci. Przy obecnym stanie rzeczy większy nacisk w kierunku nauki mógłby ze strony fabrykantów wywołać zupełne usunięcie małoletnich od pracy.

Sprawa oświaty w Rosyi zbogaca się nieraz charakterystycznymi szczegółami. Według *Wiest. Jewropy*, w gub. saratowskiej na zebraniu ziemskiem powiatowem uchwałę zakończono temi słowy: „niech popy i diaki uczą lud!.." Na obradach kurskiego zebrania ziemskiego prezes poruszył kwestyę, czy oświata ludowa nie jest przedmiotem zbytku niebezpiecznego? „Nauka przynosi tylko szkodę, demoralizuje włościan... Rezultatem są *kułaki* i *abłakaty* (adwokaci), szynkarze i inni obieżyświaty... Nauka psuje młodzież włościańską." „Z takich argumentów — mówi *Wiestnik* — logiczny wniosek: ciemnota podniesiona do ideału i zasady, na wzór teoryi niewolnictwa. Jeśli większość zebrania kurskiego zgodziła się z przekonaniem swego przedstawiciela, to po co było tworzyć komisyę dla nadania właściwego biegu sprawie kształcenia ludu? Jedyny sposób uwolnienia się od *szkodliwej oświaty* — zamknięcie szkół ludowych."

W Lipsku wyszło z pod prasy dzieło Reinholdta p. t.: *Geschichte der russischen Litteratur von ihren Anfängen bis auf die neueste Zeit*. Książka ta ukazywała się zeszytami od r. 1884; obecnie całość wynosi 800 stronic i dzieli się na trzy części: pierwsza obejmuje poezyę ludową, język i literaturę do czasów Piotra Wielkiego; druga — wiek XVIII, trzecia — XIX. Ojczyzną autora jest Rosya; w niej się wychował, to też miał sposobność poznać i zbadać gruntownie literaturę rosyjską, czego owocem jest to obszerne dzieło. Może ono służyć za podręcznik dla samych nawet rosyan. Zakres pracy jest szeroki, gdyż uwzględnia ona także ruch naukowy, dziennikarstwo, tudzież badania historyczne i etnograficzne. Sądów trafnych wiele. Kreśląc dzieje satyry, autor zwraca uwagę na prądy, jakie jej towarzyszyły w społeczeństwie rosyjskiem. Bohaterem tej dziedziny literatury jest Szczedryn (Sałtykow). Kto choć trochę zna piśmiennictwo rosyjskie XVIII i XIX wieku — mówi autor — ten musi przyznać, że rosyanie posiadają wielką siłę talentu i humoru w satyrze. Od Daniela Zatocznika do Sałtykowa-Szczedryna, ciągnie się ona

w przypowieściach, klechdach i bajkach, a potem w opowiadaniach, powieściach i dramatach przed Piotrem Wielkim. Następnie Kantemir dał początek nowej satyrze, która znacznie się rozwinęła u Sumarokowa, u bajkopisarzy i w komedyi XVIII w. Dalej świetniejsza epoka: Grybojedow, Gogol, humoryści szkoły naturalistycznej, Ostrowskij, Sałtykow. U ostatniego satyra przedzierzga się we wspaniałą formę, obejmując życie społeczne i polityczne ostatniego trzydziestolecia. Przez ten czas Sałtykow był niezmordowanym dyagnostykiem społeczeństwa rosyjskiego; ucho jego wsłuchiwało się w każde tętno narodu. Dzięki temu umiał wynajdywać nawet nieznaczne objawy niemocy i wad społecznych, tłomaczyć ich przyczyny i wróżyć następstwa. Miał odwagę z pyszną ironią chłostać małych i wielkich niegodziwców, wogóle wyprowadzać na jaw pierwiastki zepsute.

Wybornie skreślona sylwetka Dobrolubowa. Pisarz ten zdolny żył krótko (1836—1861). Obdarzony hardą, szlachetną naturą, czuł z goryczą, iż powinien działać w takim czasie, gdy uczciwie myślący człowiek musi być skazany albo na bezczynność, albo na ofiarę dobrowolną. Z natury delikatny, w krytyce zmuszony był przemawiać ostrym, sarkastycznym językiem. Najbardziej go bolała martwota społeczeństwa. Wreszcie osamotnienie, utarczki z przeciwnikami, wszystko to wpłynęło na wielkie zgoryczenie i przyspieszyło śmierć. Pchnięty w świat, rozpoczął życie pod brzemieniem nędzy. W r. 1856 zaledwie dwudziestoletni młodzieniec, pojął odrazu zadanie krytyki, zrzekł się estetyki, a za miarę wziął życie rzeczywiste, społeczeństwo, takie, jakiem ono było. Był żarliwym obrońcą altruizmu. Każdy wiersz jego utworów, jak gdyby krwią z własnego serca napisany. Pod względem uczucia i świetnej formy, wielkiej są wartości jego prace: „Nowy kodeks mądrości życiowej" i rozbiór powieści Gonczarowa: „Obłomow." Jednym z najlepszych krytycznych utworów Dobrolubowa są dwa obszerne artykuły o dramatach Ostrowskiego. Na tle utworów wielkiego dramaturga i komedyopisarza autor rozwija straszny obraz zepsucia społecznego, wstrętnego poniżenia godności ludzkiej w połączeniu z umysłowem i moralnem zdziczeniem. W takiej samej formie realistycznej mówi o Turgeniewie i Dostojewskim.

Główny zarzut czyniony Dobrolubowowi jest, jakoby godłem jego było — *przeczenie*. Obwiniano go także o profanacyę ideału artystycznego, utylitaryzm, nieposzanowanie powag, np. w poezyi — Puszkina, w pedagogice — znakomitego chirurga, Pirogowa, u którego wskazywał „despotyzm liberalny." Najbardziej nie chciano mu przebaczyć ostrego, zjadliwego języka w *Świstku*. Chłostał on bez miłosierdzia próżność i samolubstwo literatów, którzy byli przekonani, iż w odkryciu i zbadaniu ran społecznych wszystko już zrobiono. Nazywano go *zuchwałym malcem*, arogantem, odmawiano mu wykształcenia głębszego. Kto walczy z mrokiem, ten walczy za światło. Świat umysłowy, ludzkie, na prawach przyrody i człowieczeństwa oparte normalne stosunki społeczne, tudzież wychowanie młodzieży i cywilizacya narodu, który Dobrolubow umiłował serdecznie i widział w nim zdrowe, chociaż jeszcze nie rozwinięte pierwiastki — oto był ideał tego ukrytego idealisty.

Zenon Pietkiewicz.

KRONIKA BIEŻĄCA.

P. Kokerow opowiada ze swych wspomnień w *Rusk. Archiwie*, że ks. Barjatyńskij doradzał Cesarzowi Aleksandrowi II przyjęcie udziału w wojnie austryacko-pruskiej z tym celem, ażeby Węgry uczynić państwem niepodległem, część niemiecką Austryi oddać Prusom, a słowiańską przyłączyć do Rosyi. Tym sposobem byłby naprawiony błąd z r. 1849 i kwestya wschodnia rozwiązaną. Monarcha oparł się temu projektowi.

J. I. Kraszewski — pamiątka jego pogrzebu. Pod tym tytułem księgarnia Żupańskiego i Heumana w Krakowie wydała szkic biograficzno-krytyczny hr. L. Dębickiego, oraz zestawienie Estreichera działalności naukowej i literackiej z wymienieniem wszystkich wydań dzieł zmarłego i przekładów na obce języki p. t. „Sześćdziesiąt lat pracy Kraszewskiego" (1828—1887).

Uczniowie, kończący szkoły początkowe żydowskie, przyjmowani dotąd bez egzaminu do klasy pierwszej gimnazyum, będą nadal zmuszeni zdawać egzamina przy wstąpieniu do wszystkich zakładów średnich.

Szkoła dziewarska (Wirkschule) w Limbach pod Chemnitz, jest najlepszą i najstarszą z tego rodzaju zakładów. Studya składają: wykład teoretyczny i zajęcia praktyczne w warsztatach. Kurs jest roczny i rozpoczyna się na Wielkanoc. Wpis dla cudzoziemców 200 marek, towary surowe wynoszą do 150 m., utrzymanie roczne co najmniej 720 m., razem cała nauka 1170 m. Przytem i praktykę nie trudno znaleźć na miejscu, ponieważ dziewarstwo w Saksonii dotąd jest po większej części przemysłem domowym; daleko więc łatwiej zdobyć zajęcie, aniżeli gdyby przemysł ten skupiony był w wielkich zakładach, zwykle dla obcego niedostępnych. Objaśnienia te na użytek młodych rodaków przesyła nam p. W. Sozański, dodając: Wyraz „dziewarstwo" (Wirkerei, wirken — dziać) w tym razie wydaje mi się odpowiedniejszym, aniżeli „pończosznictwo" (Strumpfwaarenbranche), oznaczające tylko pewną część wyrobów, a nie wszystkie te towary, które w zakres tej gałęzi podpadają.

Liczba studentów w Instytucie dróg i komunikacyi w Petersburgu ograniczoną została do 300. Opłata roczna wynosić będzie rs. 100. Na pierwszy kurs przyjmowani będą tylko kandydaci, którzy ukończyli gimnazyum, z warunkiem wszakże złożenia egzaminu dodatkowego z fizyki i matematyki.

Sztuka. Na wystawę Krywulta w hotelu Europejskim nadesłą akwarela J. I. Kraszewskiego „Z Włoch" (krajobraz).

— Na wystawę Tow. sztuk pięknych E. Perle nadesłał wykonany według ostatniej fotografii portret Kraszewskiego.

— W Teatrze Wielkim wystawiono *Dziewczę z chaty za wsią*, sztukę ludową, przerobioną z powieści Kraszewskiego *Chata za wsią*, przez Mellerową i Galasiewicza.

Towarzystwo oszczędności kobiet zawiązało się we Lwowie. Celem jego jest krzewienie oszczędności w rodzinie.

Teatr litewski. *New-York Harald* donosi, że w Chicago, w salonach stowarzyszenia litewskiego, odbyło się widowisko amatorskie po litewsku na rzecz kasy ubogich rodaków. Słuchaczów zebrało się 600. Grano dramat oryginalny *Patkul*.

Stowarzyszenie polskie w Londynie otrzymało od kilku zamieszkałych tam rodaków obietnicę 13 fst. rocznie, jeżeli opuści szynk, w którym z powodu ubóstwa odbywa dwutygodniowe posiedzenia i znajdzie lokal prywatny. Literat i publicysta Naganowski miał w stowarzyszeniu odczyt „O Konradzie Wallenrodzie." Biblioteka Tow. literackiego bardzo jest uboga. Nie posiada wszystkich dzieł Mickiewicza, brak zupełnie Słowackiego, Krasińskiego, Wincentego Pola, Syrokomli, Lenartowicza; z historyi niema Bobrzyńskiego, Szujskiego, Kalinki. Polacy w Londynie zapraszają rodaków, aby kto może zasilał bibliotekę. Adres: „Frinnds of Poland, 10, Duke Street, St. James London, S. W."

Wyrok. Moskowicz, kupiec w Zagrzebiu, za publiczne wygłoszenie na bankiecie, iż pragnąłby, aby kopyta koni kozackich zagrzmiały na ziemi austryackiej, został przez sąd skazany na sześć lat ciężkiego więzienia.

Nadmiar lekarzy w Niemczech. W r. 1874 na wydziały lekarskie uniwersytetów niemieckich uczęszczało 3,195, ukończyło zaś 610 studentów. W roku 1886 liczba pierwszych wynosiła 7,781, drugich 998. Przeważna ilość nowych lekarzy osiada w większych miastach, wskutek czego w r. z. na 10,000 mieszkańców przypadało w Berlinie 9.08, w Hamburgu 6.15, w Koloni 5.01, w Wiesbadenie 5.5 doktorów. Znacznie mniej na prowincyi: np. w okr. koźlińskim 1.62, gombińskim 1,37.

Do Rumunii. Jeden z przemysłowców łódzkich wysłał od siebie do Rumunii agenta z poleceniem zbadania rynków tamtejszych. Delegat wrócił z przekonaniem, iż do czasu uchwalenia zwrotu cła może się jedynie opłacać wywóz perkalów.

Szkołę dla dziennikarzów otwiera Dawid Anderson, pisarz angielski. Obiecuje za 100 fst. wyuczyć pisania artykułów poważnych, politycznych, kronik, sprawozdań, określić, do jakiej specyalności natura każdego z uczniów usposobiła, rozwijać ich zdolności i dać możność zarobkowania w tym zawodzie w stosunku od 150 do 500 fr. tygodniowo. Pomysłowy pisarz przyrzeka dla swoich wychowańców zrobić to, co szkoła sztuk pięknych robi dla malarzów, rzeźbiarzów, budowniczych, a konserwatorya i szkoły dramatyczne dla śpiewaków i aktorów.

Studenci paryzcy zagrozili bezrobociem z powodu przywrócenia opłaty za wpis w Sorbonnie. Młodzież z innych uniwersytetów stanęła po stronie kolegów paryzkich przeciwko rządowi.

Łacina nadobowiązkowa w szkołach realnych na Węgrzech będzie wprowadzona z początkiem roku szkolnego 1888.

Dr. A. Weinberg, właściciel pracowni chemicznej, wynalazł podobno przyrząd do odkrywania podziemnych zdrojowisk.

Paszporty. Z zaprowadzeniem nowego podatku od paszportów zagranicznych, jednocześnie od wszelkich opłat zostaną uwolnieni: delegowani przez rząd za granicę, wychowańcy rosyjskich szkół morskich, szyprowie i oficerowie marynarki, pielgrzymi udający się do Jerozolimy i na górę Athos, cudzoziemcy nieosiedleni w Rosyi, niebiorący udziału w przedsiębiorstwach przemysłowych i niepozostający w służbie państwowej lub prywatnej, właściciele ziemscy posiadający dobra z tej i z tamtej strony granicy (jeśli jeżdżą do swych majątków zagranicznych, nie dłużej, jak na trzy miesiące co roku); kupcy albo pielgrzymi, jadący do Azyi środkowej i do okręgów tureckich, sąsiadujących z krajem kaukazkim; osoby wysyłane przez rząd na koszt akademii i uniwersytetów dla dalszych studyów w celu objęcia posad naukowych po powrocie; rodziny i służba osób jadących za granicę na stałą służbę rządową; oficerowie i inni, którzy otrzymali rany lub kalectwo na służbie rządowej i udają się na kuracyę; poddani rosyjscy, mieszkający w Chinach i Japonii, wykładający tam z polecenia rządów miejscowych język rosyjski; zarządzający komorami w portach chińskich i osoby wzywane przez państwa obce na świadków w sprawach karnych. Natomiast zniesione zostaną wszystkie inne ulgi dotychczasowe. Zmiany i prolongaty paszportów dokonywane będą w poselstwach i konsulatach.

W Poznaniu d. 16 b. m. został ukończony proces przeciw socyalistom. Z 23 oskarżonych skazano siedmiu: Janiszewskiego z Drezna, kandydata socyalistów poznańskich, na dwa lat i tydzień więzienia, Voelkego i Gaula, robotników, na 9 miesięcy więzienia, Rogowicza, pozłotnika, na 3 miesiące, Grześkiewicza, stelmacha, na rok i trzy miesiące, Ziętkowskiego i Tomaszewskiego, robotników, na trzy miesiące więzienia.

Zmarli. Jakób Girtler, profesor prawa niemieckiego na uniwersytecie krakowskim. Był uczniem wszechnicy jagiellońskiej.

— Dr Ludwik Weryha Darewski, ur. w pow. humańskim gub. mińskiej, 1818 r. Był w Warszawie ordynatorem szpitala Dzieciątka Jezus, następnie w instytucie położniczym do r. 1861. Pracami swemi zasilał *Tyg. lekarski*.

— Ludwik de Perthers w Białocerkwi. Wydał *Poezye* w trzech oddziałach (1842—1846). Był współpracownikiem *Kuryera wileńskiego* i *Tyg. petersburskiego*.

— Stanisław Tokarzewski, artysta-muzyk, kompozytor.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Wikt. Moryn. w Petersb. W ocenianiu utworów literatury miara historyka jest inną, a bibliografa inną. Ten ostatni prawie nigdy w swych sądach nie może uwolnić się od wpływu wrażenia, jakie na niego wywierają „białe kruki." Chociażbyśmy więc — jak

radzi wydawca — „wygładził ze swej pamięci trzysta lat," nie możemy się z nim zgodzić, ażeby wierszowane roboty Kobiernickiego były odnalezioną „perełką piśmiennictwa XVI w." i ażeby jedyną wadą trenów tego autora było to, „że nie mają końca." Nawet dla współczesnych byłoby to jedyną ich zaletą. W p. Glejsztorze bibliograf zbyt zapanował nad krytykiem.

P. Kaj. Km. „Sylwan," organ galicyjskiego Towarzystwa leśnego, pod redakcyą W. Tynieckiego we Lwowie. Rocznie w Królestwie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5.

P. K. Dind. Ci artyści nie są równi wobec sztuki, ale najzupełniej równi wobec etyki społecznej. Niech Pan przytem pociechę „obdzierania cudzoziemskich kieszeni" przeniesie ze znakomitego śpiewaka na znakomitego poetę lub uczonego, który pisze głównie dla obcych, bo mu dobrze płacą, a oceni Pan jej wartość. „Co kraj na tem zyska," jeżeli Koch. i Mierz. wejdą stale do składu naszej opery? — pyta Pan. Czemu tu logika jest tak skromną i nie zapyta radykalniej: co kraj na tem zyskuje, że wogóle opera polska istnieje?

P. Br. Pogorzelskiemu. Istotnie, wiersz Węgierskiego p. t. „Fanatyzm" przypisywany był przez niektórych Franciszkowi Karpińskiemu; wystarcza jednak głębsza znajomość ducha i formy obu poetów, aby mylne to mniemanie sprostować i oddać Węgierskiemu co Węgierskiego. Słodki i rozmodlony śpiewak Justyny nie miał na swej lutni strun spiżowych i nigdy pewnie nie zdobyłby się na pieśń tak pełną męzkiej energii, jak ta, o której mowa. I dlatego też w ostatniem (lwowskiem) wydaniu poezyj Węgierskiego skrupulatny pod tym względem Estreicher nie wahał się pomieścić „Fanatyzmu" w liczbie utworów poety, których autentyczność nie ulega zaprzeczeniu.

W. G.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na poczcie zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Апрѣля 1887 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.